

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Jak zapewnić bezpieczeństwo lekarzom, pielęgniarcom i ratownikom medycznym

● Rozmawiamy z prof. dr. hab. Mariuszem Siemińskim, kierownikiem Kliniki Medycyny Ratunkowej GUMed

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80
LAT

Piątek

13.06.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 136 (24 497) // Rok 80
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011347766

MORSKI TERMINAL PRZEŁADUNKOWY ORLEN W GDAŃSKU. INWESTYCJA Z NAJWYŻSZYMI STANDARDAMI BEZPIECZEŃSTWA

Za kilka miesięcy rozpocznie działalność Morski Terminal Przeładunkowy Orlen w Gdańsku. Dzięki inwestycji wartej około 500 mln zł, znacznie skróci się proces dostaw m.in. biokomponentów do produkcji paliw powstających w gdańskiej rafinerii. Najwyższe standardy bezpieczeństwa zapewnia w terminalu nowoczesny system.

Czytaj na stronie 7

Magazyn Puls

Kinga Gruszecka:
Kosmos nas ratuje
na co dzień. Tu,
na Ziemi **str. 22-23**

FELIETON NA FALI

Zgoda czy konflikt?

Przez najbliższe trzy miesiące reprezentacja Polski nie gra żadnych ważnych meczów. W tym czasie można było to załatwić koncyliacyjnie, godnie i z wielką fetą na Narodowym.

Czytaj str. 2

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



Niekompletne exposé



Manichejskie postrzeganie polityki nie przynosi nam niczego dobrego. Ono nigdy nie będzie stanowiło podstawy do zbudowania wspólnoty narodowej – mówi historyk dr Janusz Sibora, z którym rozmawiamy m.in. o wystąpieniu premiera **str. 4-6**

FOT. PAP/RAFAŁ GUZ

REKLAMA

0011332967



EKSPRES LOSY CO ZA SZTOSY

PONAD **600 000 000 zł**
NA WYGRANE!

GRAJ W PUNKTACH



Gdy grasz,
wszystko gra!

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaaltycki.pl

Trzy wydarzenia mijającego tygodnia skłoniły mnie do refleksji i wspólnego wniosku, że konflikt, konfrontacja zawsze kończą się źle.

Cała Polska żyła w tym tygodniu konfliktem na linii trener reprezentacji Michał Probiez i Robert Lewandowski. Naprawdę trudno mi zrozumieć, dlaczego trener kadry, który powinien być osobą łagodzącą konflikty w zespole, zachował się tak głupio i konfrontacyjnie wobec legendy polskiej piłki! To oczywiste, że trener ma prawo wymienić kapitana drużyny. To zrozumiałe, że Robert Lewandowski, w wieku 38 lat i po 11 latach bycia kapitanem reprezentacji i po tym jak wiele dobrego zrobił dla polskiej piłki, miał prawo zdjąć z siebie tę kapitańską presję. Ale sposób w jaki to wykonano był tak idiotyczny, że trudno mi w to uwierzyć.

Robert Lewandowski, który rozstał Polskę i polską piłkę jak nikt inny w historii, zasługuje na to, żeby z okazji przekazania kapitańskiej opaski zrobić mu wielką fetę na Stadionie Narodowym! Przez najbliższe trzy miesiące reprezentacja Polski nie gra żadnych ważnych meczów. W tym czasie można było to załatwić koncyliacyjnie, godnie i z wielką fetą na Narodowym. Tymczasem trener Probiez postanowił poinformować Roberta Lewandowskiego o swej decyzji, w przeddzień ważnego meczu eliminacji do mistrzostw świata, o godz. 22, kiedy ten usypiał

FELIETON NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”



KONCYLIACJA, A NIE KONFLIKT

dzieci! Jak skończyła się ta konfrontacja? Wszyscy wiemy: przegrany mecz eliminacyjny z Finlandią, rozbita psychicznie drużyna, wkurzeni kibice, obrażony Lewandowski. Dobrze, że na koniec afery Probiez miał w sobie tyle godności, że sam się podał do dymisji. I to jedyna korzyść z tego konfliktu.

Niezrozumiała dla mnie konfrontacja odbywa się również w Stanach Zjednoczonych, gdzie prezydent Donald Trump postanowił wysłać Gwardię Narodową i piechotę morską na protestujących wobec jego polityki imigracyjnej. Trump przed wyborami zapowiadał, że dokona wielkiej deportacji imigrantów i co zapowiadał to robi, ale odbywa się to w sposób absolutnie konfrontacyjny. Amerykańskie media donoszą, że oprócz imigrantów, którzy ostatnio dostali się do USA w sposób nielegalny,

deportowane są także osoby, które żyją tam po 20 lat, mają pracę, rodziny i ubezpieczenia. Niektóre osoby agencji ICE (Służby ds. Cel i Ochrony Granic) podobno wyłapywali wprost z ulicy i deportowali do krajów, w których ci nie mieszkali od kilkunastu lat!

Taka konfrontacyjna polityka wywołała olbrzymie protesty w wielu miastach w USA. Co zrobił Trump? Naśladł na protestujących wojsko, bo uznał protesty za rebelię, z którą nie radzą sobie władze stanowe. Czyli dołączył do ognia. Teraz przeciwko sobie ma nie tylko protestujących, ale także gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma, który uznał działania Trumpa za niezgodne z prawem i skierował sprawę do sądu. Jak się to skończy? Zobaczymy, ale nie sądzę, żeby urodziło się z tej konfrontacji jakieś dobro.

Trzeci konflikt odbywa się w naszej rodzimej poli-

tyce. Po wygranych wyborach prezydenckich przez Karola Nawrockiego, mnożą się doniesienia o rzekomych błędach w liczeniu głosów. Skala tych nieprawidłowości jest spora, ale chyba nie na tyle, żeby mogła zmienić wynik wyborów. Wszystkie trzeba jednak wyjaśnić. Są jednak politycy, którzy konfrontacyjnie przy tej okazji nawołują do unieważnienia wyborów i przeprowadzenia ich od nowa. Rozumiem te emocje, ale one też nie przyniosą niczego dobrego.

Na tym tle pozytywnie mnie zaskoczył Karol Nawrocki, który odbierając w środę zaświadczenie o wyborze na prezydenta na Zamku Królewskim, wygłosił bardzo koncyliacyjne przemówienie.

Mówił dużo o budowaniu bezpieczeństwa wszystkich obywateli, o wspólnocie, o równości, o tym, że będzie prezydentem wszystkich Polaków i Polaków oraz że będzie chciał zasypywać podziały i walczyć z nienawiścią obecną w naszym życiu społecznym. To był zupełnie inny Nawrocki niż w kampanii wyborczej - tam był konfrontacyjny, a tu koncyliacyjny.

Nie wiem, który Nawrocki jest prawdziwy, bo poznaliśmy go już także jako Tadeusza Batyrę, ale jeśli zachowa ten koncyliacyjny ton, to ta prezydentura może mu się udać. Jeśli zaś pójdzie na konflikt i konfrontację z rządem, sejmową większością i sporą częścią społeczeństwa, to może się to skończyć jak konflikt Probieza z Lewandowskim. I nikt na tym nie zyska.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

17°C
8°C

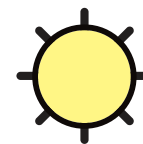


Wiatr pñ.
22 km/h

Uwaga
Przeważnie słonecznie

Sobota

19°C
8°C

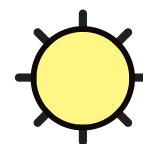


Wiatr pñ.
13 km/h

Uwaga
Słonecznie

Niedziela

25°C
14°C



Wiatr pñ.-wsch.
15 km/h

Uwaga
Słonecznie

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOTOZAGADKA

**Kto zgadnie, jaki obiekt wi-
dać na fotografii?**

Tym razem z powietrza uchwycony został fragment Gdańska. Żeby odgadnąć, jaki obiekt został uwieczniony na fotografii, trzeba więc wykazać się dobrą znajomością stolicy województwa, ale jesteśmy przekonani, że nasi Czytelnicy i Czytelniczki poradzą sobie z tą zagadką.

Rozwiązanie zagadki będzie można znaleźć w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaaltycki.pl oraz na redakcyjnym Facebooku. (AT)

FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

KURSY WALUT

12.06.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48,
Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego,
Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	423/431(+)	GBP	496/505(+)
USD	365/375(-)	CHF	449/457(-)
GBP	496/505(+)		
CHF	449/457(-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	423/431(+)
USD	365/375(-)
GBP	496/505(+)
CHF	449/457(-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem:
jacek.wiercinski@polskapress.pl

Jacek
Wierciński



POLSKA i ŚWIAT

SINGAPUR

Prezydent Andrzej Duda wezwał na czwartkowym briefingu podczas wizyty w Singapurze do tego, by „nie poniżać, poprzez takie określenia, jak neosędziowie” osób powołanych na stanowisko sędziego przy udziale KRS, ukształtowanej zgodnie z ustawą z 2017 r. Sędziowie ci są, jego zdaniem, „w wielu przypadkach prześladowani”, a stosowane wobec nich metody są „wstrętne i podłe”.

”

W polskim wymiarze sprawiedliwości jest niestety grupa, która oszalała z obawy przed naruszeniem ich przywilejów

Andrzej Duda prezydent RP

Planowali zamachy w Polsce. Służby zatrzymały 19-latków

oprac. Anna Nagel
Olsztyn

Śledczy ustalili, że wszyscy podejrzani zbierali w internecie informacje z zakresu obsługi broni palnej, postaw strzeleckich. Uczęszczali na strzelnice i prowadzili treningi militarno-taktyczne.

Służby doprowadziły do zatrzymania trzech 19-latków planujących zamachy terrorystyczne w Polsce - poinformował rzecznik prasowy MSWiA Jacek Dobrzyński.

Zatrzymani młodzi mężczyźni „zafascynowali się największymi zbrodniami tego świata, którzy popełniali największe zabójstwa”. Analizowali zamachy, do których dochodziło w Norwegii, Nowej Zelandii, w Stanach Zjednoczonych. „I to jest najbardziej

przeróżające, dlatego że oni doskonalili swoje umiejętności” - podkreślił Dobrzyński.

19-latkowie „analizowali to pod kątem też popełnianych błędów przez sprawców”. „Oni ściągali informacje z internetu, jak budować ładunki wybuchowe, jak ćwiczyć strzelanie w terenie, ale też w obiektach zamkniętych” - podkreślił.

Rzecznik nie poinformował, gdzie mężczyźni planowali zamachy. Według nieoficjalnych informacji, do których dotarło RMF FM, na „celowniku” mężczyzn mogła znaleźć się szkoła, ale również większe skupiska ludzi, takie jak parady LGBT, czy pielgrzymki wiernych. Z informacji nieoficjalnych uzyskanych przez PAP, wynika, że zatrzymanym mężczyznom planującym zamachy zależało na zdo-

byciu rozgłosu i był to jeden z powodów, dla których wcześniej nie informowano o sprawie.

We wspólnym komunikacie ABW i Prokuratury Okręgowej w Olsztynie podano, że mężczyźni gromadzili środki o właściwościach pirotechnicznych oraz instrukcje dotyczące konstruowania układów wybuchowych.

„Podejrzani swoją inspirację czerpali m.in. z działalności masowych zabójców, takich jak Anders Breivik, Brenton Tarrant czy Timothy McVeigh. Byli zafascynowani ich ideologią, analizowali sposób przeprowadzenia przez nich zamachów i popełnione błędy” - przekazała prokuratura.

19-latkom przedstawiono m.in. zarzuty popełnienia przestępstw z art. 168 k.k.



FOT. LUKASZ CAPAR

Trzech młodych mężczyzn planowało zamachy, ucząc się strzelać w terenie otwartym i w obiektach zamkniętych

w zw. z art. 163 k.k., które dotyczą przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, a także spowodowania zdarzenia, które zagraża życiu lub zdrowiu wielu osób albo mieniu w wielkich rozmiarach. Zagrożenie karą wynosi od roku do lat 10. Podejrzani usłyszeli także zarzuty z art. 255a par. 2 k.k., które dotyczą uczestnictwa w szkoleniu, która ma na celu popełnienie przestępstwa o charakterze terrorystycznym. Czyny te są zagrożone karą pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat.

Minister sprawiedliwości Adam Bodnar komentując udaremniony zamach na szkołę, powiedział w czwartek, że musimy sobie uświadomić, że oddziaływanie rosyjskie jest już teraz i będzie cały czas się pogłębiało. Jak dodał, Rosja nie tylko wy-

syła swoich agentów, ale też pozyskuje do działań ludzi z wewnątrz kraju.

Według Bodnara rosyjskie metody obejmują „pozyskiwanie ludzi z wewnątrz danego państwa, czy to obywateli danego państwa, czy osoby ze środowisk migrantów, czy nawet uchodźców”. „Często za odpłatnością, a czasami po prostu wykorzystując naiwność danej osoby” - dodał.

Minister zaznaczył, że „w zasadzie nie ma tygodnia, kiedy nie pojawiałyby się nowa sprawa - czy to dotycząca przesyłek tych kontrolowanych z materiałami zapalającymi, czy sprawy podpaleń, czy właśnie przygotowywania się do podejmowania jakichś działań sabotażowych, dywersyjnych, czy właśnie szpiegowskich”. PAP

AUTOPROMOCJA

0011324347

Dziennik Bałtycki

Kupisz także w sieci sklepów Biedronka
Dzienniki regionalne w 3300 sklepach Biedronka
na terenie całego kraju



Biedronka
Codziennie niskie ceny



ZDROWIE

Każdy, kto pracuje na oddziałach ratunkowych, styka się z różnymi formami przemocy werbalnej i fizycznej – przyznaje prof. dr hab. Mariusz Siemiński, kierownik Kliniki Medycyny Ratunkowej GUMed. – Tej ostatniej doznajemy głównie ze strony osób z zaburzeniami psychicznymi, po zatruciu alkoholem czy narkotykami
STR. 10-11



FOT. SYLWIA MIERZEWSKA

STYL ŻYCIA

Everest i 130 procent prawdy o zdobywaniu szczytu
Zdobycie Everestu było na pewno jedną z najcięższych rzeczy, które zrobiłem – mówi Michał Leksiński, wspinacz, himalaista, działacz społeczny **STR. 16-17**

JANUSZ SIBORA: POLITYCZNE MANIFESTACJE, KULTURA I SZACUNEK DO WYBORCÓW

Traktowaliśmy wybory prezydenckie, podobnie jak wiele wcześniejszych, po manichejsku. Na zasadzie dobro-zło albo cynizm, siła kontra moralność. Zresztą sama ta kampania taka była... A przecież takie manichejskie postrzeganie polityki nie przynosi nam niczego dobrego. Ono nigdy nie będzie stanowiło podstawy do zbudowania wspólnoty narodowej – mówi dr Janusz Sibora, historyk. Rozmawiamy o exposé premiera Donalda Tuska i ceremonii odbioru zaświadczenia o zwycięstwie w wyborach przez prezydenta-elekta Karola Nawrockiego

Tomasz Chudzyński

Premier Donald Tusk wygłaszał exposé w Sejmie przed pustymi ławami opozycji.

Nieobecność polityków zajmuje więcej miejsca niż ich obecność. Zobaczyliśmy w czasie exposé pewną scenografię sali plenarnej polskiego Sejmu. Zestawione zdjęcia premiera Donalda Tuska z pustymi ławami opozycji są symboliczne. Rozumiem tę nieobecność posłów PiS jako rodzaj politycznej demonstracji. Owszem, opozycja miała do tego prawo. Z drugiej strony pozostaje jednak odbiór społeczny, a polityka dzieje się dziś w znacznej mierze w internetowej sieci. I część komentarzy, można je nazwać chwytliwymi, lub populistycznymi, wskazywała, że przecież posłowie w czasie obrad Sejmu „są w pracy”. Ich obecność w czasie gdy premier wygłaszał to dość istotne przecież exposé, była ich obowiązkiem. W odbiorze społecznym ta demonstracja miała inny wymiar niż odbiór polityczny. Świętym prawem opozycji jest prawo do zadawania niewygodnych pytań, krytykowania rządu, nawet w sposób

ostry. Dobrze jeszcze by było, by ta krytyka była merytoryczna. Kwestie ostentacyjnej nieobecności, wychodzenia jednak wchodzący, moim zdaniem w sferę kultury politycznej, politycznej kultury parlamentarnej, a może po prostu kultury. I co ważne, szacunku dla wyborców. Być może można by było takie kwestie regulować za pomocą regulaminu parlamentu, ale może po prostu lepiej czerpać z dobrych wzorów.

W angielskim parlamencie nikt nie wychodzi w czasie przemówienia premiera...

Ani w angielskim, ani w niemieckim czy francuskim. To nie jest dobry zwyczaj po prostu. Ta nieobecność tworzy próżnię nie tyle fizyczną, co intelektualną. Posłowie PiS wrócili na salę na sesję pytań do premiera po exposé... Szkoda, że premiera na części tej sesji nie było. Można było tak ustawić kalendarz tego dnia, by był obecny w trakcie całych obrad. Znowu dotykamy sfery kultury politycznej i szacunku do wyborców. Wizerunkowo niedobrze wygląda, gdy po-



Premier Donald Tusk uzyskał votum zaufania. Za było 243, przeciw 210

słowie zwracają się do nieobecnego premiera. Natomiast, paradoksalnie, to posłowie opozycji, którzy w rekordowej liczbie zgłosili się do sesji pytań do premiera, napisali Tuskowi jego exposé, uzupełnili o treść, którego w jego przemówieniu zabrakło. Bo on zaczął to swoje wcześniejsze wystąpienie, odpowiadając na pytania opozycji, uzupełniać o istotne szczegóły. A tych nie brakowało, m.in. w sprawach służby zdrowia, przemysłu, górnictwa, paktu migracyjnego, służby zdrowia, czy kwoty wolnej od podatku. Pomijam tu oczywiście bardziej emocjonalne w wyrazie wystąpienia posłów PiS, np. Janusza Kowalskiego. Dyskusja miała bardziej rozbudowaną strukturę, bo z kolei posłowie rządzącej koalicji stanowili dla premiera filary oparcia, podkreślając listę osiągnięć czy krytykując skutki 8 lat rządów PiS-u. Cóż, każdy strzela z armat tak, jak potrafi. A rzeczywiście Tusk przypominał w czasie tej debaty okręt wojenny, intensywnie ostrzeliwany.

Dokończenie na str. 6

Wspieramy Cię z niewyczerpaną ENERGIA!



Polska Grupa Energetyczna

FOTOWOLTAIKA
Z MAGAZYNAMI
Z DOTACJĄ

do **28 000 ZŁ***
z programu **Mój Prąd 6.0**
od NFOŚiGW



Fotowoltaika



Magazyn energii



Magazyn ciepła



**MODUŁ ZASILANIA AWARYJNEGO
DO MAGAZYNU ENERGII DO
ZESTAWÓW PV OBJĘTYCH PROMOCJĄ**

Gratis!**

Zamów kontakt

www.gkpge.pl

* Dofinansowanie z programu Mój Prąd 6.0 udziela Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW), zakup instalacji fotowoltaicznej wraz z obowiązkowym magazynem energii i/lub magazynem ciepła nie gwarantuje otrzymania maksymalnej kwoty dofinansowania. Szczegóły udzielenia dofinansowania dostępne są na stronie www.mojprad.gov.pl. Materiał promocyjny nie stanowi oferty w rozumieniu artykułu 66 Kodeksu Cywilnego. ** Szczegółowe warunki promocji określone są w regulaminie dostępnym na www.gkpge.pl

PREMIER Z WOTUM ZAUFANIA, PREZYDENT-ELEKT Z ZAŚWIADCZENIEM

Dokończenie ze str. 4

W jakiej sytuacji jest obecnie ów okręt?

Rządzenie oznacza, że nie ma jednego centrum, ale jest ich wiele. Chcę tu przytoczyć znane w nauce o polityce pojęcie „pustej korony”. Obrazuje ono słabnącą pozycję rządu i utratę realnej władzy na rzecz innych ośrodków władzy. Zdolność rządu do wyznaczania kierunków działań i realizacji celów wówczas słabnie. W takiej pozycji jest obecnie szef rządu.

Wotum zaufania premier i jego koalicyjny rząd otrzymali.

To co mi się podobało w przemówieniu Tuska, to próba nawiązania dialogu z częścią opozycji – mówił o możliwych polach współpracy, podając przykład tzw. deregulacji przepisów. To był dobry pomysł, trzeba było iść dalej tym tropem. Natomiast Donald Tusk sprawiał wrażenie zmęczonego. Ja po przemówieniu premiera oczekiwałem czegoś innego. Liczyłem, że to wystąpienie będzie może nie wizjonerskie, ale pełne konkretnych propozycji na przyszłość. Premier przedstawił osiągnięcia rządu, o których już przecież wiedzieliśmy. Oczekiwanie społeczne były natomiast takie, że Donald Tusk przedstawi szczegółowy, miesięczny plan działań rządu rozpisany na kolejne 2,5 roku. Tego zabrakło. Były ciekawe słowa, nazwijmy je skrzydlatymi, o tym, że premier zna gorzko porażki, słodczy zwycięstwa, ale nie zna słowa kapitulacja. Dobrze to zabrzmiało. Na pewno przebiło się w tytułach prasowych artykułów. Niemniej premierowi trochę zabrakło, by mógł do przodu uciec. Tego oczekiwali wyborcy, a nie tylko finansowego sprawozdania. Patrzymy w przyszłość, a nie rozliczamy. To rozliczenie nastąpiło w niedzielę wyborczą.

Mamy teraz nowe realia polityczne, bo Karol Nawrocki według przewidywań będzie twardszym politykiem niż Andrzej Duda.

Nic nie stało na przeszkodzie, by w kampanii prezydenckiej rząd intensywnie pracował.

W tym czasie rząd wręcz powinien jeszcze swoje działania przyspieszyć, zintensyfikować. Jeśli składa się obietnice wyborcom, to trzeba ich dotrzymywać. A jest cała paleta zapowiedzi programowych z 2023 roku, które nie zostały zrealizowane. Tamta kielbasa wyborcza się zepsuła. Z drugiej strony jest pewnym paradoksem, że wybory prezydenckie stały się przyczyną kryzysu politycznego. Trzeba rzecz nazwać po imieniu – proszenie o wotum zaufania jest efektem przesilenia, które nastąpiło 1 czerwca.

Ponad 10 milionów wyborców ponad wskazało jednak na to, że rząd wspiera i liczy, że będzie nadal u władzy.

Dotykamy tego, jak Polska wygląda po bitwie, jaki jest dziś krajobraz polskiego społeczeństwa. Minione wybory nie były w generaliach głosowaniem nad walorami kandydata, głosowaniem na osobę prezydenta, a poparciem określonych, politycznych opcji. Potwierdziło się stwierdzenie, że nie wygrywa kandydat dwukrotnie wystawiony, co oczywiście nakazuje zapytać o podstawy wyboru Koalicji Obywatelskiej, które stały za wskazaniem Rafała Trzaskowskiego. Nie było odpowiednich badań nastrojów społecznych i zaniebano media społecznościowe, które pomagają dotrzeć do najmłodszych wyborców. Z kolei Karol Nawrocki, kandydat obywatelski, jakbyśmy go nie nazywali, ewidentnie, właśnie w takiej formule, lepiej odpowiadał na zapotrzebowanie społeczne w tym czasie. I o ile dziś, po wyborach, znamy obraz polskiego społeczeństwa, to problemem jest, że polska socjologia, polska nauka, takiego obrazu nie była w stanie zdefiniować. Nie śledziła za-

chodzących zmian, choć odpowiednie narzędzia do tego ma. Każdy z kandydatów uosabiał inną wizję Polski. Ta wizja, którą rysował Trzaskowski, okazała się 360 tys. głosów mniej atrakcyjna. Nie mówiąc o 3 mln głosów oddanych w I turze na Mentzena czy milionie na Brauna.

Prezydent-elekt Karol Nawrocki, w dniu głosowania na wotum zaufania dla rządu Tuska odebrał na Zamku Królewskim zaświadczenie o wyborczym zwycięstwie.

Odebranie zaświadczenia jest symbolicznie ważnym aktem, bo mówimy o głowie państwa, wybranym w wyborach powszechnych. W okresie międzywojennym taka ceremonia nie istniała, ale były to też inne realia, bo prezydenta nie wybierano tak jak dziś. Natomiast w kwestii tego ceremonialnego aktu pewnej tradycji dopiero się dopracowujemy. By podnieść rangę tego wydarzenia, wybrano na ceremonię miejsce bardzo znaczne – jedną z najbardziej reprezentacyjnych sal Zamku Królewskiego. Wcześniej bywało różnie. W 2015 r. ceremonia wręczenia zaświadczenia Andrzejowi Dudzie odbywała się w Wilanowie. Wyboru miejsca uroczystości dokonał PKW jeszcze przed wyborami, których wynik nie był znany. Komnaty w Pałacu w Wilanowie okazały się jednak zbyt małe. Wymogi protokolarne i problemy techniczne sprawiły, iż trudno było w nich nadać tej uroczystości odpowiednio podniosły charakter.

Data zaprzysiężenia nowego prezydenta przed Sejmem ustalona jest na 6 sierpnia.

Przypuszczam, że będziemy jeszcze świadkami wielu nerwowych zwrotów akcji, jak w jakimś thrillerze politycznym, w sprawie zaprzysięże-

TO CO MI SIĘ PODOBAŁO W PRZEMÓWIENIU TUSKA TO PRÓBA NAWIĄZANIA DIALOGU Z CZĘŚCIĄ OPOZYCJI – MÓWIŁ O MOŻLIWYCH POLACH WSPÓŁPRACY

nia prezydenta – elekta. Premier Donald Tusk powiedział, że nie kwestionuje wyniku wyborów prezydenckich. Niemniej dylemat istnieje, w postaci nieścisłości w protokołach, skutkująca protestami wyborczymi. Słyszemy coraz więcej apeli o ponowne przeliczenie głosów. Byłby to krok stanowiący wyraz szacunku do wyborców. Problemem jednak otwartym jest to, że ewentualna decyzję o ponownym przeliczeniu głosów PiS, co do której legalności są poważne wątpliwości. Oświadczenie Marszałka Sejmu, Szymona Hołowni jest tu dość enigmatyczne. Powiedział on, że jeżeli Sąd Najwyższy uzna wynik wyborów, to 6 sierpnia Karol Nawrocki zostanie zaprzysiężony przez Sejm. Pytanie natomiast, co Hołownia rozumiał przez Sąd Najwyższy? Czy chodziło mu o sędziów, których status nie jest podważany? Pamiętajmy, że był on autorem projektu ustawy, która miała uporządkować tę kwestię, a która została zawetowana przez prezydenta Dudę. Niezależnie też od tego, co się będzie działo, zastanowić się należy, czy w czasie zaprzysiężenia nowego prezydenta będziemy świadkami pewnej manifestacji politycznej, tak jak to miało miejsce w przypadku expose premiera Tuska. Czy ławy posłów Koalicji Obywatelskiej będą puste? Wydaje mi się jednak, po zapowiedziach premiera o próbie nawiązania koabitacji z Karolem Nawrockim oraz szacunku do decyzji wyborców, ostentacyjnie pustych ław 6 sierpnia nie zobaczymy. W czasie uroczystości na Zamku Królewskim, którą zaznamy organizowała PKW, w pierwszym rzędzie,

obok prezydenta-elekta i jego małżonki zasiedli prezes PiS Jarosław Kaczyński oraz posłanka tej partii, Elżbieta Witek.

Zobaczyliśmy tu bardzo wyraźnie rozwiązanie niepaństwowe a partyjne. Procedencja nie przewiduje, by obok prezydenta-elekta i jego małżonki zasiadali, w pierwszym rzędzie, zwykli posłowie jednej partii politycznej. W odpowiednim rozdziale miejsc w poszczególnych rządach chodzi o symbolicznie wyrażenie pozycji danego urzędu w państwie, ustalenie, kto ma pierwszeństwo przed kim, kto jest ważniejszy, a kto mniej ważny. I o ile w czasie uroczystości na Zamku Królewskim prawidłowo rozszedziono przedstawicieli rządu, Sejmu i obecnego prezydenta, to w przypadku miejsc Jarosława Kaczyńskiego i Elżbiety Witek należy zadać pytanie, co sprawiło, że zwykli posłowie zasiedli obok prezydenta-elekta. Całość wyglądała w odbiorze społecznym tak, jakby przedstawiciele PiS pełnili w państwie rolę ważniejszą od na przykład wicepremier, szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza czy wicemarszałka Sejmu Piotra Zgorzelskiego. Domyślać się należy, że była to wyraźna manifestacja polityczna, być może zrealizowana na wyraźne życzenie Karola Nawrockiego, jego komitetu lub gremiów partyjnych PiS. Trudno to wytłumaczyć, bo uroczystość organizowała ważna instytucja państwowa, reprezentująca wszystkich wyborców, a nie dana partia. Szkoda, bo uroczystość, która powinna łączyć, wskazała jednak wyraźny podział polityczny Polski.

Niemniej Karol Nawrocki odbierając dokument od PKW

powiedział, że chce swoją prezydenturą znieść polityczną nienawiść między Polakami. Z drugiej strony najważniejszą postacią w jego gabinecie ma być Przemysław Czarnek z PiS, jeden z najbardziej radykalnych, brutalnych polskich polityków ostatnich lat.

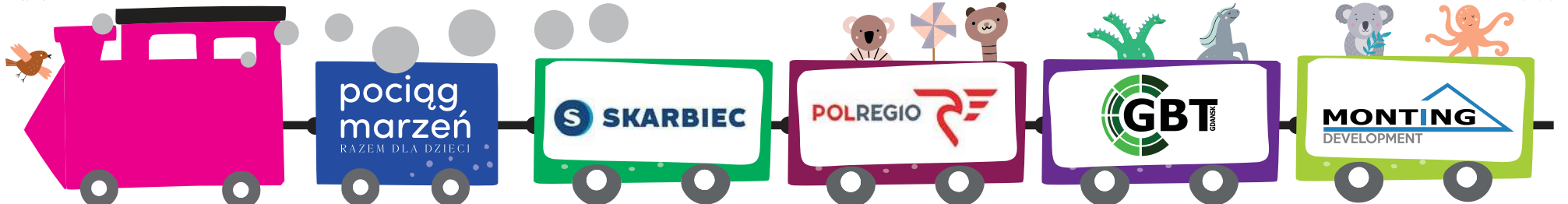
Mamy Rzeczpospolitą podzieloną od lat. I choć wektor tego podziału zaczyna się zmieniać to nie wierzę, że zostanie on zasypany. Słyszymy przemówienia polityków, w których mówią o znoszeniu tego podziału, co jest moim zdaniem zwyczajnie niemożliwe. Retoryczne zabiegi o budowaniu jedności, wspólnoty narodowej zdają się na nic. W przemówieniach dominowała wczoraj retoryka wojenna. Premier mówi, że nie zna słowa „kapitulacja”, a prezydent elekt nie zamierza podpisać rozejmu z Tuskiem i wyznacza kolejne „czerwone linie”. Chyba nie taki jest sens polityki. Nie ma tu jakiegokolwiek refleksji intelektualnej, która stanowiłaby podstawy do budowania konsensusu politycznego opartego na zdefiniowanych ramach patriotyzmu.

Ma pan rady dla polityków, jak takiej refleksji mogliby poszukać?

Intelektualiści mają tu wielką pracę do wykonania. Tyle że mamy polityzację życia intelektualnego. Proszę zwrócić uwagę, że media rozmawiają z takimi ekspertami, którzy im pasują pod kątem przekazu – i z prawej i z lewej strony. Nie są popularni tacy komentatorzy, którzy rozdzielają włos na czworo. A takiego podejścia powinniśmy oczekiwać. Cytując profesora Andrzeja Walickiego – cierpimy w Polsce wciąż na tę samą chorobę. Traktowaliśmy wybory prezydenckie, podobnie jak wiele wcześniejszych, po manichejsku. Na zasadzie dobro-zło albo cynizm, siła kontra moralność. Zresztą sama ta kampania taka była... A przecież takie manichejskie postrzeganie polityki nie przynosi nam niczego dobrego. Ono nigdy nie będzie stanowiło podstawy do zbudowania wspólnoty narodowej.

BYŁY CIEKAWE SŁOWA, NAZWIJMY JE SKRZYDLATYMI, O TYM, ŻE PREMIER ZNA GORYCZ PORAŻKI, SŁODYCZ ZWYCIĘSTWA, ALE NIE ZNA SŁOWA KAPITULACJA

AKCJA CHARYTATYWNA



0011347809

MORSKI TERMINAL PRZELADUNKOWY ORLEN W GDAŃSKU. INWESTYCJA Z NAJWYŻSZYMI STANDARDAMI BEZPIECZEŃSTWA

Nowoczesny system przeciwpożarowy, którym zarządza jednostka LOTOS Straż, zapewnia najwyższe standardy bezpieczeństwa. To bardzo ważne dla działalności Morskiego Terminalu Przeładunkowego ORLEN w Gdańsku, który znacząco skróci proces dostaw, m.in. biokomponentów do produkcji paliw powstających w gdańskiej rafinerii.



FOT. MAT. PRASOWE

Prezentacja systemu przeciwpożarowego na terenie Morskiego Terminalu w Gdańsku



FOT. MAT. PRASOWE

Specjalistyczna łódź ratownictwa wodno-ekologicznego

Ratownicy z jednostki LOTOS Straż (Grupa ORLEN) to doskonale wyszkoleni strażacy, którzy pełnią swoją służbę w specyficznych i trudnych warunkach. Morski terminal to obiekt, który wymaga najwyższej jakości zabezpieczeń. Rozbudowane systemy mają chronić nie tylko pracowników i zakład, ale także okolicznych mieszkańców przed zagrożeniami, jakie mogłyby wystąpić w związku z działalnością morskiego terminala.

Zakupiona niedawno specjalistyczna łódź ratownictwa wodno-ekologicznego to jeden z najważniejszych elementów, przeznaczonych do ochrony przeciwrozlewowej i przeciwpożarowej. Na kompleksowy system bezpieczeństwa składają się także m.in.: cztery zdalnie sterowane działka wodnopianowe, trzy zapory przeciwrozlewowe, trzy ciężkie wozy bojowe.

- Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych zakładowych straży pożarnych w Polsce. Dysponujemy dziewięcioma supernowoczesnymi wozami bojowymi. Posiadamy także naj-

wyższy wysięgnik w Unii Europejskiej. Ma ponad 80 metrów wysokości. W spółce funkcjonują trzy specjalistyczne grupy: wysokościowa, wodno-nurkowa i ratownictwa chemicznego - mówi Jarosław Mikiciuk, prezes zarządu LOTOS Straż.

Jednostka kładzie ogromny nacisk na szkolenie strażaków. To kursy, ćwiczenia na miejscu, ale także wyjazdy na poligon w Wielkiej Brytanii, gdzie strażacy działają w sytuacjach kryzysowych, związanych z zagrożeniem dla infrastruktury krytycznej, jaką jest rafineria.

Nowoczesna łódź ratownictwa, która stanowi jeden z elementów systemu bezpieczeństwa portu jest przystosowana do działań na wodach śródlądowych i przybrzeżnych wodach morskich. Jednostkę o długości niespełna ośmiu metrów i szerokości prawie trzech metrów wyposażono w elementy ułatwiające prowadzenie działań ratowniczych grupy wodno-nurkowej oraz likwidację zanieczyszczeń rozlewowych.

- Budowa Morskiego Terminala Przeładunkowego ORLEN na Martwej Wiśle postawiła przed naszą jednostką nowe wyzwania. Aby zapewnić bez-

pieczeństwo w tym obszarze, musieliśmy zdobyć nowe kompetencje i uzupełnić sprzęt naszej jednostki. Jednym z podstawowych nowych elementów tego wyposażenia jest łódź motorowa. To jednostka napędzana silnikiem zaburtowym o mocy 150 KM. Posiada ster strumieniowy, który pozwala nam na łatwiejsze manewrowanie. Dodatkowym wyposażeniem jest otwierana burta dziobowa oraz dwie otwierane furty boczne. To wszystko pozwala nam na łatwiejsze prowadzenie działań ratowniczo-gaśniczych - informuje Piotr Pryczkowski, komendant jednostki LOTOS Straż.

System bezpieczeństwa to także instalacje przeciwpożarowe, obejmujące systemy detekcji pożaru i wykrywania zagrożeń. Systemy gaśnicze zasila

pompownia przeciwpożarowa o wydajności 5000 litrów na minutę z poborem wody z Martwej Wiśły oraz 9 metrami sześciennymi środka pianotwórczego, zmagazynowanymi w zbiornikach.

11-metrowe maszty ze zdalnie sterowanymi działkami wodnymi umożliwiają gaszenie statków i pomostów przeładunkowych. Martwą Wiślę chronią dwie 220-metrowe zapory przeciwrozlewowe. Dodatkowym zabezpieczeniem jest 340-metrowa zaporą do wtórnego zabezpieczenia potencjalnego rozlewiska substancji ropopochodnych na powierzchni wody.

Obserwowaliśmy na Martwej Wiśle akcję strażaków z wykorzystaniem nowej łodzi. Ratownicy rozwinęli zaporę przeciwrozlewową i zabezpieczali portowe systemy przeciw-

pożarowe. Ustawiono skimmer przelewowo-pompowy o wydajności 30 metrów sześciennych na godzinę, który pozwala na zbieranie substancji ropopochodnych i ogranicza ich rozlew na powierzchni wody.

Morski Terminal Przeładunkowy ORLEN w Gdańsku rozpocznie działalność za kilka miesięcy.

- Terminal będzie służył do przeładunku produktów ropopochodnych. Wartość inwestycji to około 500 mln zł. Wybudowaliśmy nabrzeże o długości 380 metrów z dwoma stanowiskami przeładunkowymi do jednoczesnej obsługi dwóch zbiornikowców za pomocą 8 zautomatyzowanych dwukierunkowych ramion nalewowych. To jeden z najlepszych takich systemów w Europie. Terminal jest także wyposażony we w pełni zautomatyzowany system cumowniczy oraz wspomniany system przeciwpożarowy - oznajmia Marcin Niezgoda, kierownik projektu w Dziale Projektów Inwestycyjnych ORLEN.

Morski Terminal Przeładunkowy ORLEN na Martwej Wiśle usprawni dostawy biokomponentów do produkcji paliw

(biobenzyny i biodiesla), powstających w gdańskiej rafinerii. Będzie także obsługiwał transport olejów bazowych na statki oraz posłuży do przeładunku niskosiarkowych paliw żeglugowych oraz półproduktów rafineryjnych. Jego docelowe moce sięgną 2 mln ton produktów rocznie. Aktualnie transport produktów pomiędzy rafinerią a zewnętrznymi punktami przeładunkowymi odbywa się za pośrednictwem zakładowej boczny kolejowej.

Łukasz Biernat, zastępca dyrektora projektu ds. branżowych NDI (generalny wykonawca inwestycji) powiedział, że to szczególny moment, bo zakończono już prace budowlane i obecnie skupiono się na uruchamianiu gotowych systemów i obiektów.

- Trwają uruchomienia w branżach technologicznej i automatyki, a także rozruchy mechaniczne. Szczególnym wyzwaniem na tym etapie są testy sprzętu, koordynacja wykonanych instalacji z pozostałymi systemami i integracja wdrożonych rozwiązań z systemami rafinerii. Prace przebiegają zgodnie z harmonogramem - stwierdza Łukasz Biernat.

*LOTOS STRAŻ JEST JEDNĄ
Z NAJNOWOCZĘŚNIEJSZYCH
I NAJLEPIEJ WYPOSAŻONYCH
ZAKŁADOWYCH STRAŻY
POŻARNYCH W POLSCE*

MAKBET TOTALNY I RYSZARD II W STYLU NOH

Już wkrótce William znów będzie rządził w Gdańsku, a z nim córki króla Leara, Makbet, urodziwy Ryszard II i okrutny Ryszard III oraz Duchy Ojca, pojawią się też Romeo i Julia. Pod koniec lipca rozpocznie się bowiem 29. międzynarodowy Festiwal Szekspirowski. Przyjadą teatry z Japonii, Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Polski, ale też artyści z Belgii, Holandii, Szkocji, Norwegii i Stanów Zjednoczonych

Grażyna Antoniewicz

Motto tegorocznej edycji to „Słowa, słowa, słowa” - cytata z „Hamleta”, który każe nam pochylić się nad wartością słów pisanych prawie 500 lat temu. Czy sztuki Szekspira mają jeszcze znaczenie, a jego słowa mogą nas wciąż poruszać?

- Otacza nas nadmiar informacji. Widzimy, jak łatwo można zagubić się w morzu słów i jak ważne jest, aby znaleźć te, które naprawdę mają znaczenie - mówi Paulina Popiół, rzeczniczka Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego.

Specjalna gwiazdka na niebie

Uwielbiam ten festiwal między innymi za to, że jest pełen niespodzianek. Nie zapomnę, jak pewnego roku na scenie pojawił się Otello, który wyglądał jak Rambo. Zdarzyło się, że kupiec wenecki Shylock okazał się kobietą, a Lady Makbet mężczyzną. Hamlet cierpiał na kompleks Edypa, Julia pływała w akwariu, akcja „Kronik” odbywała się w rzeźni, a obłąkana Ofelia zamiast siać kwiatki, gdała. Były spektakle bez słów, akrobacje powietrzne i widzowie dmuchający bańki mydlane.

Nie trzeba czytać Szekspira, by wiedzieć, kto powiedział: „Być albo nie być” i dokąd powinna iść Ofelia.

Skąd ta moda w świecie naleciwego Szekspira?

Znany rumuński reżyser Silviu Purcarete 19 lat temu, gdy był na festiwalu w Gdańsku, zapewniał, że: „Szekspir to enigma. Prawdopodobnie wcale nie istniał. Być może było więcej osób, które napisały niektóre sztuki przypisywane Williamowi. To był fantastyczny moment w historii literatury - okres elżbietański. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście William Szekspir jest

autorem tych 37 dramatów. Ale na pewno była to specjalna gwiazdka na niebie. On ciągle jest współczesny, tak samo jak tragedia grecka”.

Jaki będzie ten festiwal? Na pewno nieco egzotyczny, bo zjawiają się artyści z Kraju Kwitnącej Wiśni. O ile pamiętam, Japończycy byli u nas w 2008 roku z „Zimową opowieścią” (Teatr Ryutopia).

Tym razem zespół G. Garage Shakespeare-dō Company zaprezentuje „Ryszarda II” w reżyserii Kochi Yamato, reżysera, który ma bogate doświadczenie w wystawianiu dzieł Szekspira w stylu teatru noh, czyli klasycznego teatru japońskiego. Aktorom z Japonii towarzyszyć będzie liryczna muzyka zespołu Mama!milk i Emi Eleonora. Zachwycą nas zapewne kostiumy zaprojektowane przez słynnego scenografa Shingo Tokihiro.

„Burza” ze Lwowa

Szekspirowskie święto rozpocznie 25 lipca ukraińska „Burza” Narodowego Akademickiego Ukraińskiego Teatru Dramatycznego im. Marii Zankovet-skiej we Lwowie w reżyserii Oksany Dmitriewej.

„To smutna bajka dla dorosłych o niezdolności ludzkości do dorastania, o megalomanii i tym szalonym świecie. Dano nam raj, a my zamieniamy go w piekło” - pisali krytycy, a światowej sławy szekspirolog Michael Dobson zapewniał: „Burza” Oksany Dmitriewej - którą zobaczyłem na festiwalu w Iwano-Frankiwsku w czerwcu 2024 roku - to po prostu najinteligentniejsza, najbardziej pomyślowa i logicznie spójna interpretacja tej sztuki, jaką widziałem w ciągu półwiecza oglądania takich przedstawień.

Zespół The Tiger Lillies, mistrzowie awangardowego kabaretu oraz katalońscy aktorzy:



„A Macbeth Song”, czyli Makbet totalny w interpretacji The Tiger Lillies

Màrcia Cisteró, Enric Cambray i Andrew Tarbet (pochodzący z Nowego Jorku), pokażą ironiczną wersję „Makbeta”. Ten „Makbet to teatr totalny. Martyn Jacques, lider zespołu, stworzył 22 piosenki specjalnie na potrzeby spektaklu.

- Są one grane na żywo, pełne mrocznego liryzmu i przeszywającej ironii. Warto zabrać na ten spektakl poczucie humoru - radzi Paulina Popiół.

Wchodzi Duch

Do hasła festiwalu nawiązuje przedstawienie „Wchodzi Duch”, który stworzyła Weronika Szczawińska wspólnie z Piotrem Wawrem i zespołem Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Jest to koprodukcja Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego i Teatru Jaracza. Na scenie zobaczymy duchy ojców, które pozwalają nam skonfrontować się z przeszłością. Będziemy mogli też pomyśleć o wpływie autoritetów.

- Jest to nie tylko bardzo mądre przedstawienie, ale i przeżabawne - zapewnia Paulina Popiół.

szenie, śmiech i uśmiech. „Sen nocy letniej” w oryginale ma wielki wdzięk - zapewnia reżyser Michał Zadara.

Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy pokaże „Juliusza Cezara” w reżyserii Błażeja Biegasiewicza.

W 1599 roku trzydziestoletni William Szekspir stworzył swoją pierwszą wielką tragedię: „Juliusza Cezara”. Uchodzi ona za jeden z najwybitniejszych dramatów politycznych wszech czasów, a monolog Marka Antoniusza nad zwłokami Cezara uznaje się za najlepszą mowę polityczną w Szekspirowskim kanonie.

Natomiast „Opowieść zimową”, w reżyserii Pameli Le-ończyk, przywiezie do Gdańska Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera w Warszawie. Spektakl ten dwa lata temu zdobył pierwszą w historii Festiwalu Szekspirowskiego w Gdańsku nagrodę Nowego Yoricka. Teatr Powszechny zdecydował się przełożyć wersję „work in progress” na pełnowymiarowy spektakl.

Jak widać, Gdański Teatr Szekspirowski przyczynił się do ponownego zainteresowania młodych reżyserów i reżyserek Szekspirem.

- Jeśli chodzi o liczbę realizacji w sezonie, to wróciliśmy wreszcie i triumfalnie do poziomu przedpandemicznego. 23 realizacje to powód do dumy dla polskiego teatru, bliski liczbom premier na rynku francuskim i niemieckojęzycznym, o wiele przecież bogatszym niż nasz. Pod względem szekspirowskich premier jesteśmy liderem wschodniej europejskiej flanki - mówi Łukasz Drewniak, selekcjoner konkursu o Złotego Yoricka i pomysłodawca Nowego Yoricka.

W tegorocznym konkursie o Nowego Yoricka pokażą swoje

prace młode, ale już uznane i utalentowane reżyserki.

Teatr im. Słowackiego w Krakowie wybrał do współpracy Jadwigę Klatę, która zrealizowała tam „Koriolana”.

Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu przedstawi „Poskromienie złościcy”, a Teatr Polski im. Hieronima Konieczki w Bydgoszczy „Ryszard III: Tron we krwi” w reżyserii Patrycji Wysokińskiej.

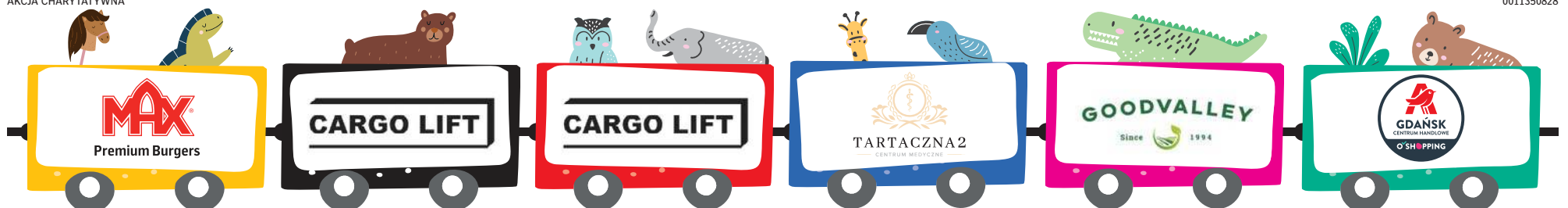
W programie będzie również pięć spektakli w konkursie SzekspirOFF 2025.

- Na pewno widzowie znajdą tutaj coś intrygującego i ciekawego. Zobaczą dwa spektakle lalkowe, co jest dużym zaskoczeniem, ale też pojawi się spektakl muzyczny ocierający się o operę - mówi rzeczniczka.

Poza przedstawieniami na widzów czeka ciekawy program wydarzeń towarzyszących. Odbędzie się spacer, podczas którego Paweł Sztarbowski wspólnie z dr Anną Ratkiewicz, kierowniczką działu edukacyjnego Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego, zaprowadzą chętnych nad Motławę - szlakiem chwastów, roślin i drzew, które znaleźć można w dziełach Szekspira. Wśród propozycji jest kolacja (płatna) z potrawami z czasów elżbietańskich, pojawią się na niej sam Szekspir. Będą warsztaty gry na pile i tarce muzycznej z The Tiger Lillies. Uczestnicy poznają nietypowe „zabawki”, które budują charakterystyczne brzmienie The Tiger Lillies. Będzie okazja do poznania artystów, zadania im pytań, posłuchania niesamowitych opowieści z życia zespołu i ich doświadczeń muzycznych. Festiwal rozpocznie się 25 lipca, a zakończy 3 sierpnia.

Ciekawe, który ze spektakli najbardziej zachwyci gdańską widownię, który zaszokuje i co stanie się festiwalowym hitem.

AKCJA CHARYTATYWNA



0011350828

Pyszne parówki dla dzieci bez kompromisów

Dobrusie 100% polskiej szynki



GOODVALLEY
Since 1994

To żadna tajemnica, że nawet najbardziej wybredne dzieci przepadają za parówkami. Świadomi opiekunowie nie zawsze jednak dzielą ich entuzjazm. Teraz już żaden rodzic nie musi wybierać między zjedzonym a zdrowym śniadaniem. Dolina Dobra ma w swoim asortymencie jedynie produkty z najwyższej jakości polskiego mięsa oraz o dobrych, naturalnych składach. Wśród oferty znajdują się propozycje, które odpowiadzą nawet na najbardziej wymagające oczekiwania – w tym pyszne Dobrusie, które oczarowują składem rodziców i zachwycają swoim smakiem dzieci. Dobrusie są dostępne w sklepach Stokrotka, Kaufland, Auchan, Carrefour, FRISCO, E.Leclerc, SPAR i Selgros.

Strategia „od pola do stołu” od najmłodszych lat

Uwielbiany przez dzieci smak i doceniany przez ich opiekunów skład produktu sprawiają, że Parówki Dobrusie 100% polskiej szynki to idealny wybór bez konieczności pójścia na kompromis między jakością a smakiem. Dolina Dobra realizuje wszystkie etapy produkcji samodzielnie, dzięki czemu może zapewnić klientom najwyższą jakość wyrobów. Począwszy od uprawy własnych zbóż, przez zbieranie plonów, przygotowywanie pasz, hodowlę zwierząt, aż po produkcję mięsa. Przy wyrobie parówek Dolina Dobra nie ma miejsca na konserwanty czy sztuczne dodatki, jak: fosforany, barwniki czy glutaminian monosodowy. Dodatkowo parówki Dobrusie 100% polskiej szynki dzięki całkowitemu wyeliminowaniu alergenów sprawdzą się nawet dla najbardziej wymagających maluchów.

O nas

Dolina Dobra to nazwa marki Goodvalley, która powstała z potrzeby podkreślenia tego co jest dla konsumentów ważne: pochodzenia z Przechlewa na Pomorzu oraz jakości i smaku produktów. Dolina Dobra bazuje na 30-letnim doświadczeniu marki Goodvalley. Wszystkie nasze wyroby powstają w harmonii z naturą, zgodnie z najlepszymi praktykami rolniczymi oraz dobrego chowu. Nasze pierwsze gospodarstwa zostały założone w Polsce w roku 1994 specjalizując się w produkcji wieprzowiny. Prowadzimy działalność w oparciu o własne pola uprawne, hodowle, pasze i zakłady przetwórcze. Dolina Dobra może pochwalić się tylko polską hodow-

lą i wyrobami pochodzącymi tylko z polskiego mięsa. W swoich produktach nie stosuje konserwantów i wzmacniaczy smaku. A opakowania produktów pochodzą z recyklingu. W Dolinie Dobra szczególną uwagę przywiązujemy również do zagadnień związanych z ochroną klimatu i odpowiedzialnego korzystania z zasobów środowiska. Na każdym etapie swojej działalności ograniczamy emisję gazów cieplarnianych. Ponadto produkujemy zieloną energię we własnych ośmiu biogazowniach. Jako przedsiębiorstwo odpowiedzialne społecznie, jesteśmy aktywnym partnerem lokalnych społeczności

i blisko z nimi współpracujemy. Wspieramy również polską edukację, współpracujemy z 4 wyższymi uczelniami rolniczymi, szkołami średnimi, a także z organizacjami pozarządowymi. Producent marki Dolina Dobra stanowi synonim nowoczesnego polskiego rolnictwa dostarczającego naturalnych produktów najwyższej jakości. Wyznaczając trendy w wyrobach spożywczych, hodowli, uprawie roślin i produkcji energii odnawialnej tworzy ponad 1300 miejsc pracy, operując na areale przekraczającym 13 tysięcy hektarów. Nasze gospodarstwa są pionierami technologii spożywczych, rolniczych i prośrodowiskowych.

RENDEZ-VOUS W KARETCE

– Każdy, kto pracuje na oddziałach ratunkowych, styka się z różnymi formami przemocy werbalnej i fizycznej – przyznaje prof. dr hab. Mariusz Siemiński, kierownik Kliniki Medycyny Ratunkowej GUMed. – Tej ostatniej doznajemy głównie ze strony osób z zaburzeniami psychicznymi, po zatruciu alkoholem czy narkotykami.

Jeden z ministrów chce wyposażyć ratowników w kamizelki nożoodporne i kamery nasobne. Nie wyobrażam sobie, by lekarz przychodził do przychodni czy szpitala w zbroi

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Najwięcej krytycznych uwag i negatywnych opinii pacjentów „zbierają” SOR-y - szpitalne oddziały ratunkowe. Czy kiedykolwiek jakiś pacjent przyszedł na SOR, by podziękować za uratowanie życia?

Tak, zdarzają się podziękowania za naszą opiekę. Pacjenci albo przychodzą osobiście, wysyłają podziękowania mejlem czy listem na nasze ręce, czy do dyrekcji. Taki miły gest w naszym kierunku zdarza się raz, dwa razy w miesiącu. Natomiast, zwłaszcza w mediach internetowych, pełno jest anonimowych wpisów, w których jesteśmy odsądzeni od czci i wiary.

Nawet ostatnio minister sprawiedliwości Adam Bodnar ubolewał, że osoby szcujące w internecie na ratowników medycznych, ale również na lekarzy i pielęgniarzy, czują się bezkarne. Zdaniem ministra nie może być tak, by urzędnik publiczny był mieszanym z błotem.

Czyli trzeba coś z tym zrobić. Wie pani, to tak troszkę jak u Mrożka, może byśmy coś zasiał... Natomiast prawdą jest, że lekarz na dyżurze jest funkcjonariuszem publicznym, tak samo jak ratownik pracujący w karetce czy policjant na służbie. Ja rozumiem frustrację tych ludzi i to, że te emocje mogą w pewnym momencie wybuchnąć, ale gdzieś jest granica. Można przecież powiedzieć, że martwię się, jestem zaniepokojony, nie podoba mi się to, że tak się dzieje, ale być gotowym na wysłuchanie wytłumaczenia, dlaczego tak się dzieje. Nic nie usprawiedliwia wyzisk ani innych form przemocy lub obszarowywania nas w internecie.

Pacjenci skarżą się głównie na to, że muszą spędzić na SOR-ze kilka, a nawet kilkanaście godzin, by dowiedzieć się, co im dolega.

W oddziale ratunkowym jak w soczewce widać, jak źle

funkcjonuje nasz system ochrony zdrowia, czyli przychodnie podstawowej opieki zdrowotnej oraz poradnie specjalistyczne. W praktyce na każdym dyżurze przyjmujemy grupę pacjentów, którzy nie mogą się do nich dostać albo sygnalizują objawy trwające od wielu tygodni, nawet miesięcy, i nie zgłaszają się z tym do lekarza rodzinnego, tylko szukają pomocy przez oddział ratunkowy. Na 100-150 pacjentów, którzy zgłaszają się w ciągu każdej doby na Kliniczny Oddział Ratunkowy w UCK, zaledwie kilku z nich wymaga procedur ratowania życia.

Ale tych z innymi problemami zdrowotnymi nie odsyłacie?

My im pomocy nie odmawiamy, ale pacjenci muszą czekać, i to często bardzo długo.

Wiele godzin spędzonych w poczekalni SOR wywala agresję...

Z jednej strony rozumiem emocje bużujące w pacjentach, którzy są sfrustrowani, że coś się dzieje z ich zdrowiem. Ani pacjenci, ani ich rodziny nie bardzo rozumieją natomiast, że ten czas, który spędzają w poczekalni, jest potrzebny nam. Po pierwsze, tych pacjentów jest dużo więcej niż lekarzy i nie zdarza się, by osoba, która nie jest w stanie zagrożenia życia, była obsłużona z marszu. A po drugie, jeżeli zaczniemy wykonywać badania laboratoryjne, radiologiczne, konsultować chorego, to każdy z tych elementów wymaga czasu. No i na koniec może się okazać, że pacjent musi zostać w szpitalu, ale w szpitalu nie ma miejsc. To jest nasza codzienność. Tak, w szpitalach - przynajmniej w Trójmieście - permanentnie brakuje miejsc.

Po tragicznych wydarzeniach m.in. w Krakowie, Poznaniu, Koszalinie czy w Gdyni poja-



Profesor dr hab. Mariusz Siemiński

wiają się różne kontrowersyjne projekty, między innymi, żeby stworzyć rejestr pacjentów agresywnych.

Dla mnie jest to temat do dyskusji prawniczej. Nie odmówimy człowiekowi zgłaszającemu się do oddziału ratunkowego pomocy z tego powodu, że kiedyś w przeszłości był niegrzeczny albo agresywny. Wiemy na ogół, która osoba jest problematyczna, która może zachowywać się w sposób niekontrolowany. Mamy wręcz epidemię osób pobudzonych pod wpływem substancji psychoaktywnych, alkoholu czy narkotyków lub z zaburzeniami psychicznymi. Czasami, pod wpływem alkoholu, ci ludzie mają myśli samobójcze. I tych pacjentów mamy praktycznie codziennie. Są agresywni, trudni we współpracy i czasami niebezpieczni dla nas. To jest też fakt.

Samorząd lekarski domaga się, by każdy lekarz - niezależnie od miejsca zatrudnienia i źródła finansowania jego pracy - korzystał z ochrony należytą funkcjonariuszowi publicznemu.

Najważniejsze jest sprawne przeprowadzenie postępowania w prokuraturze i szybkie postawienie sprawców wydarzeń przed sądem. Trzeba podkreślić, że personel medyczny jest już zniechęcony do wdrażania postępowań prawnych, bo dla zgłaszającego się wiąże to z koniecznością złożenia zeznań, udania się do sądu, do prokuratury, a bardzo często te działania, te postępowania są umarzane czy nie przynoszą jakiegokolwiek wyraźnego skutku, albo są bardzo przewlekane w czasie i z tego względu są mało skuteczne. I ktoś, kto raz doświadczył tego, uważa, że po raz kolejny zgłaszanie tego

gdzieś do wymiaru sprawiedliwości jest bez sensu.

Wiceminister zdrowia Marek Kos chce wyposażyć ratowników w kamizelki nożoodporne i kamery nasobne, ale czy w przypadku lekarzy to w ogóle zdaje egzamin?

Nie wyobrażam sobie, by lekarz przychodził do przychodni czy szpitala w zbroi. Być może w pracy zespołów wyjazdowych ma to jakieś uzasadnienie.

A jak, pana zdaniem, lekarz może chronić się na SOR-ze?

Powinien uciekać, jeżeli sytuacja jest naprawdę niebezpieczna, i wezwać policję.

Agresywni pacjenci zdarzają się często?

Z badań, które przeprowadzaliśmy, jednoznacznie wynika, że praktycznie my wszyscy pracujący na oddziałach ratunkowych stykamy się z różnymi formami przemocy. I to jest jakby wpisane w dyżurnie na oddziale ratunkowym. Ta przemoc najczęściej jest werbalna. Przemoc stricte fizyczna zdarza się rzadziej, i to ze strony osób z zaburzeniami psychicznymi bądź zaburzeniami wtórnymi po zatruciu alkoholem czy narkotykami. Groźby prawne pod adresem pracowników medycznych są bezzasadne, podobnie jak groźenie sądem czy pozwem. Nagrywanie spotkania z lekarzem to forma przemocy, z którą także często się spotykamy. Pacjenci uważają, że po lekturze informacji zawartych w internecie wiedzą, jakie badania powinni mieć wykonane, na co chorują i oczekują od nas właściwie tylko realizacji zamówień. Tak troszkę, jak w restauracji: przychodzę i potrzebuję tomografii, rezonansu i proszę mi to zrobić od ręki. Uważam, że to podważanie naszych kompetencji. I kończy się to czasami eskalacją sytuacji.

Codziennie na Kliniczny Oddział Ratunkowy w UCK zgłasza się 100-150 osób, w Wejherowie 200, a w sezonie znacznie więcej... Mam wrażenie, że mamy zdecydowanie za mało oddziałów ratunkowych. Szczególnie trudna sytuacja zrobiła się z chwilą rozwoju południowej części Gdańska i w ogóle rozrostu całej aglomeracji.

To zależy, o jaką skalę pani pyta, bo jeżeli chodzi o skalę całej aglomeracji nadmorskiej, od Wejherowa po Tczew, czyli cały ten mocno zurbanizowany pas na wschodzie województwa pomorskiego, to zdecydowanie tych oddziałów ratunkowych jest za mało. Tak naprawdę ten cały obszar, łącznie z przyległymi, wiejskimi gminami, obsługuje 5 SOR-ów: w Gdańsku (w „Koperniku”, na Zaspie i w UCK) oraz SOR w Gdyni i w Wejherowie, czyli obszar, gdzie mieszka ponad milion mieszkańców plus turyści plus osoby z przylegających powiatów. Więc to jest bardzo duża populacja: blisko milion dwieście tysięcy osób. Natomiast zakładano kiedyś, że powinien być jeden SOR na 200 000 mieszkańców, co by oznaczało, że powinien tu funkcjonować dodatkowo przynajmniej jeden szpital ze szpitalnym oddziałem ratunkowym.

Lekarka z pobliskiej przychodni rodzinnej poradziła mojej sąsiadce, by poszła na SOR do szpitala na Zaspie, bo tam robią jej wszystkie badania i skonsultują ją ze specjalistą...

Jak wynika z danych Głównego Urzędu Statystycznego w województwie pomorskim, mamy jedną z najsłabiej rozwiniętych w Polsce - w porównaniu do innych województw - sieć poradni podstawowej opieki zdrowotnej. Tych poradni jest po prostu mniej niż w innych województwach. I jednocześnie największą, w przeliczeniu na tysiąc

mieszkańców, liczbę osób zgłaszających się do oddziałów ratunkowych. Trzeba też pamiętać, że województwo pomorskie na tle mapy Polski ma jedną z mniejszych liczb łóżek szpitalnych w przeliczeniu na liczbę mieszkańców województwa. A jeżeli jeszcze spojrzymy bardziej partykularnie, to jeżeli nasze województwo liczy sobie dwa miliony, a połowa tej populacji mieszka w pasie nadmorskim, to ten niedobór łóżek szpitalnych i szpitalnego oddziału ratunkowego jest jeszcze bardziej bolesny. Natomiast sytuacja łóżkowa w szpitalach powiatowych w południowo-zachodniej części województwa jest lepsza. Tutaj, w Trójmieście, wolne łóżka internistyczne są czymś niespotykanym.

A jak wygląda sytuacja kadrowa? Bo lekarzy, specjalistów medycyny ratunkowej brakuje, prawda? Specjalistów medycyny ratunkowej jest za mało: to grupa ośmiuset kilkudziesięciu osób w skali całego kraju, a część z nich nie pracuje w medycynie ratunkowej, mimo posiadanej specjalizacji. Przez lata ta specjalizacja była – a tak na prawdę wciąż jest – mało popularna wśród absolwentów szkół medycznych, bo kojarzy się z ciężką pracą. Tym bar-

dziej że tę samą kwotę można w skali miesiąca zarobić w innych obszarach medycyny, pracując dużo spokojniej. My staramy się ten stereotyp przełamać i zachęcamy studentów do myślenia o medycynie ratunkowej. I tu, w UCK, nam się to w miarę udaje. Mamy w tej chwili jedną z największych w Polsce liczb osób szkolących się w medycynie ratunkowej. Ale to jest wyjątkowa sytuacja na mapie Polski, bo generalnie w skali województwa i całej Polski osób chętnych do rozpoczęcia specjalizacji z medycyny ratunkowej zdecydowanie brakuje. Brakuje też lekarzy do pracy na oddziałach ratunkowych. I to jest fakt.

Specjaliści też mogą dyżurować? Tak, oczywiście. I na naszym oddziale dyżurują; chirurdzy, rezydenci chirurgii, specjaliści chorób wewnętrznych, rezydenci chorób wewnętrznych. W UCK sytuacja kadrowa nie jest dramatyczna. Nie jest różowo, ale jest lepiej niż było cztery czy pięć lat temu. Nie mamy luk dyżurowych, natomiast niedobór lekarzy medycyny ratunkowej w skali kraju jest bardzo dużym problemem.

Pacjent na SOR-ze jest najważniejszy, ale lekarzy przy-

gniata biurokracja. Mnóstwo czasu zabiera im wypełnianie dokumentacji... Naszym patentem na poprawę funkcjonowania oddziału ratunkowego było wprowadzenie w lipcu 2020 roku stanowiska asystenta lekarza i to rozwiązanie sprawdziło się doskonale. W ślad za nami poszły kolejne szpitale, m.in. w Wejherowie i w Kartuzach. Szpitale w województwie czy w kraju wzorują się na naszym rozwiązaniu. Na pewno zdaje

nym, logistycznym, dokumentacyjnym. Po drugie, asystenci (większość to studenci) pracując z nami na oddziale ratunkowym, uczą się praktycznej medycyny z pierwszej ręki i sami deklarują, że ta praca daje im bardzo dużo wiedzy, doświadczenia i obycia klinicznego. Po trzecie, co jest bardzo pozytywne, studenci widzą na własne oczy, że można pracować na oddziale ratunkowym, że nie jest to piekło i najgorsze miejsce

SPECJALISTÓW MEDYCYNY RATUNKOWEJ JEST ZA MAŁO: TO GRUPA OŚMIUSET KILKUDZIESIECIU OSÓB W SKALI CAŁEGO KRAJU

ono egzamin i ułatwia pracę w oddziale ratunkowym. Aktualnie pracuje u nas 65 asystentów – są to studenci wydziału lekarskiego praktycznie w stu procentach. Pojawiają się też osoby z innych kierunków.

Praca na SOR jest potrzebna każdemu lekarzowi, obojętnie jaką specjalizację wybierze. Asystenci po prostu ułatwiają i usprawniają pracę lekarza, odciążając go od wielu działań o charakterze administracyj-

na ziemi, jak niejednokrotnie opowiadali im starsi lekarze. Mogą sami przekonać się, że jest to miejsce fajnej pracy, gdzie można dużo rzeczy zrobić, żeby pacjentowi pomóc. Między innymi z tego wynika fakt, że w tej chwili zgłaszają się do mnie lekarze, którzy chcą u mnie pracować w tej czy w innej formie, albo rozpocząć specjalizację z medycyny ratunkowej, co jeszcze pięć, sześć, siedem lat temu było wielką rzadkością.

Młodzi lekarze bronili się rękoma i nogami przed pracą na oddziale ratunkowym... Udać się nam zmienić ten negatywny wizerunek oddziału ratunkowego u naszych studentów. Dlatego bardzo zachęcamy do rozwijania takiego sposobu zatrudniania. Po czwarte, ci koledzy, którzy właśnie pracowali z nami, trafiają potem do innych klinik, w których robią specjalizację, które sobie wymarzyli, a więc takiego zawodowego koleżeństwa pozostają. Dużo łatwiej jest z nimi współpracować, kiedy są już gdzieś na oddziale, lepiej nas rozumieją. To również niweluje potencjalne konflikty na linii oddział ratunkowy – pozostałe oddziały. Z tego względu to również jest bardzo pozytywne zjawisko.

Trwa dyskusja, czy lekarz powinien być w obsadzie karetki, czy wystarczy, by zespół składał się z ratowników i pielęgniarki... Uważam, że na rynku pracy jest tak duża liczba dobrze wykształconych, doświadczonych i nabywających wciąż doświadczenia ratowników medycznych, że są oni w stanie rozwiązać większość problemów, z jakimi styka się zespół ratownictwa medycznego. Są oczywiście pewne sytuacje na tyle trudne, że wsparcie le-

karskie jest potrzebne. Natomiast to nie oznacza, że w każdej karetkce powinien być lekarz. Jednym z najbardziej efektywnych systemów wykorzystania kwalifikacji lekarzy w ratownictwie medycznym jest system rendez-vous. System ten jest szeroko stosowany w Europie w takich krajach, jak Niemcy, Austria, Szwajcaria, Holandia, Czechy, Słowacja, Belgia, Luksemburg, Norwegia, Węgry i Francja. Na przykład we Francji lekarz dojeżdża oddzielnym samochodem na wezwanie zespołu ratowników, by na miejscu ocenić sytuację i pomóc im podjąć decyzję czy wesprzeć ratowników w procedurach, których oni nie mogą przeprowadzić.

Można też zastanowić się nad formą, możliwością oraz ramami prawnymi telekonsultacji lekarskich dla zespołów ratownictwa. Kto jednak weźmie na siebie odpowiedzialność za pacjenta? To temat do rozstrzygnięcia na gruncie prawnym. Ratownik ma najlepszy ogłód sytuacji, ponieważ jest na miejscu. Lekarz sytuację widzi przez kamerę i przez mikrofony. Siłą rzeczy jego ocena może się różnić od oceny ratownika. To na pewno jest poważny problem logistyczny i formalnoprawny.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011348145

W Damnicy hipoterapię łączą ze sportem. Klub Jeździecki Polonez wychowuje młodych mistrzów

Klub Jeździecki Polonez w Damnicy stawia na rozwój młodych zawodników. Dzieci i młodzież uczą się tu nie tylko sportowej rywalizacji, ale mają również okazję nawiązać wyjątkowe relacje ze zwierzętami.

Zawodnicy damnickiego klubu na swoim koncie mają już niejednego sukces – to chociażby zwycięstwa w cyklu Zawodów Jeździeckich Baltic Cup. Jak podkreśla prezes klubu, Henryk Kozłowski, celem działalności klubu jest nie tylko zdobywanie medali i wysokich lokat na zawodach, ale przede wszystkim popularyzacja jeździectwa w regionie. - Zawodników regularnie jeżdżących w klubie mamy około 40, natomiast jeżeli chodzi o zajęcia dla dzieci, uczestniczy w nich ponad 100 osób. Istniejemy osiem lat, ale zdobyliśmy już wicemistrzostwo i mistrzostwo Polski Północnej. Mamy też powołania do kadr. Klub prężnie działa. Mamy misję – upowszechnić jeździectwo i uaktywnić młodzież. Chcemy, żeby jak największą liczbę osób jeździło konno, chcemy wyjść z elitaryzmu tego sportu, żeby jak największą liczbę osób „złapało bakcyła” – mówi Henryk Kozłowski. - Najważniejsza jest radość, uśmiech dzieci i ich zadowolenie, że mogą korzystać z tej infrastruktury – dodaje.



Sportowy ORLEN wsparciem dla najmłodszych W klubie Polonez przez wykwalifikowaną kadrę prowadzona jest również hipoterapia. Z takich zajęć regularnie korzystają dzieci ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy. Dzięki pracy ze zwierzętami, najmłodsi rozwijają się zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. - Zajęcia u pana Henryka w klubie jeździeckim to bardzo bogata oferta rehabilitacji dla dzieci z różnymi niepełnosprawnościami. Dzieciaki uwielbiają te zajęcia i czekają na nie z utęsknieniem. To także integracja dzieci niepełnosprawnych z dziećmi sprawnymi, to kontakt z koniem,

budowanie własnej wartości i odwagi u naszych dzieci. Dzięki programowi Sportowy ORLEN nasze dzieci mają całkowicie bezpłatne zajęcia u pana Henryka, za co jestem bardzo wdzięczna – mówi Bożena Natoniowska, dyrektorka SOSW w Damnicy. - Dzieci z niepełnosprawnościami, mimo że mają wiele ograniczeń, doskonale się rozwijają i zaczynają już samodzielnie jeździć konno. To jest wielki sukces. Pierwsze galopowania to dla nich wielkie przeżycia, a dla nas wielka satysfakcja, że dzięki nam i programowi Sportowy ORLEN możemy tak wiele tutaj tym dzieciom dać – zaznacza Henryk Kozłowski.

Konie uczą odwagi i wytrwałości Na zajęciach w klubie, młodzież zawiązuje przyjaźnie nie tylko z rówieśnikami, ale przede wszystkim ze zwierzętami. - Konie potrafią bardzo szybko zobaczyć o co dziecku chodzi, co się z nim dzieje. Jeżeli dziecko ma pewne emocje, koń je wyczuwa. Dzięki temu tworzy się specyficzna relacja między dzieckiem a zwierzęciem. Dzieci bardzo je lubią i zaprzyjaźniają się z nimi. Programy, takie jak ten ORLEN, powodują, że hipoterapia jest szerzej dostępna – zauważa Grzegorz Tuszyński, hipoterapeuta w klubie Polonez. Rodzice zawodników podkreślają, że z klubowych treningów ich dzieci wynoszą mnóstwo cennych wartości. Zdobywają doświadczenie sportowe, ale również budują swoją osobowość. - Zajęcia dają dużo naszym dzieciom – uczą ich cierpliwości, koncentracji, ale przede wszystkim dzieci mogą spędzić czas na świeżym powietrzu. Zajęcia są odskocznią od codzienności, od szkoły. Córcie bardzo się to podoba – mówi Agnieszka Remus, mama Mai. - Myślę, że to najlepsze miejsce do tego, żeby zaczynać swoją karierę sportową. Jako rodzic czuję się bardzo wyróżniona, że moja córka może trenować w klubie, w którym mamy do czynienia

z prawdziwą szkołą jeździecką, z kunsztem, klasą, wysoką kulturą – wymienia Marta Andrzejewska, mama Zofii. - Córka była kiedyś osobą bardziej wycofaną, natomiast kontakt ze zwierzęciem spowodował, że nabrała pewności siebie. Widzę jej ogromny rozwój, zwłaszcza emocjonalny, bardzo szybko dojrzała – dodaje.

Jak treningi i swoje relacje ze zwierzętami oceniają same zawodniczki? - Trenuję w klubie od około dwóch lat. Najbardziej zaprzyjaźniłam się z Monte – jest to kuc, na którym obecnie startuję w zawodach. Mam kilka sukcesów, startowałam w Baltic Cup. W stajni ludzie są świetni, każdy może tu na sobie polegać i jesteśmy praktycznie jak jedna rodzina – mówi Aniela Gorzkowska. - Przez dwa lata systematycznie trenowałam z panem Henrykiem, dało mi to możliwość dużego rozwoju. Od niedawna mam swojego konia i tak naprawdę wkraczamy na naszą wspólną drogę. Z treningu na trening czuję, że ta relacja się coraz mocniej zacieśnia. Czas, który spędzamy z koniem przed i po treningu jest bardzo ważny w budowaniu wspólnej relacji, aby móc porozumiewać się ze sobą i być jednością – ocenia Zofia Andrzejewska.

PANI ELŻBIETA ZAPEWNI INNYM DOBRY SEN. JAK? MAGLUJĄC POŚCIEL NA LUSTRO

Elżbieta Rusiecka ma co do artykułu tylko dwa ważne wymagania. Po pierwsze, żadne daty nie mogą zostać pomyłone. Co do dat, to ona wymaga perfekcji. Po drugie, koniecznie muszą się znaleźć ciepłe słowa o jej pracownicy. Bo Edyta Szymkiewicz na to zasługuje. A reszta? - Co tam już pani napisze, to napisze.

Anna Czerny-Marecka

No to piszę, zaczynając od tych dat, żeby gdzieś nie przepadły i się nie pomyliły. A są one takie: 1 czerwca 2025 roku w Słupsku przy ul. Mickiewicza 6 swoje 55. urodziny obchodził jedyny już tradycyjny magiel w mieście. I tego samego dnia jego właścicielka, Elżbieta Rusiecka, świętowała hucznie, bo z klientami, ratuszowymi oficjeli i torsem, 40-lecie swojej jednoosobowej firmy.

W zasadzie można nawet powiedzieć, że gdyby 1 czerwca 1985 roku pani Elżbieta nie przejęła magla od PSS Spółem, to nie byłoby w tym roku żadnych jubileuszy. Bo kiedy zaczynała w tym zawodzie, magli tradycyjnych w Słupsku było 27. Ostał się tylko jeden. Właśnie jej. Jakim cudem? Bo ona ma do tej roboty serce.

- To jest taki biznes, że da się przeżyć z miesiąca na miesiąc. Jeżeli ktoś ma jednak większe finansowe oczekiwania, to nie wytrzyma - mówi.

Ona do magla przychodzi nie jak do pracy, ale jak do ulubionego miejsca. Gdzie spotyka się z ulubionymi ludźmi. Klientami, sąsiadami i oczywiście swoją pracownicą Edytą Szymkiewicz zwaną Frytką. - Taką zwariowaną jest, jak ja - śmieje się Elżbieta Rusiecka.

Widać, że tworzą zgrany duet. Od 12 lat stoją ramię w ramię przy maglu. Ręce pracują, rozmowy toczą się wartko. Jak wpadnie klient albo sąsiad, jest jeszcze ciekawiej.

- To centrum informacyjne całej okolicy - szepce mi do ucha szef firmy rachunkowej, który na urodziny przyszedł z całą załogą. Pani Ela jest ich klientką. Jak sama mówi, uratowali ją przed plajtą w trudnym dla maglowniczego biznesu czasie pandemii Covidu.

Drewniana maszyna i kamieni kupa

A jak do tego magla trafiła? - Najpierw odchowałam dzieci, a potem pomyśla-



Urodziny 55- i 40-lecia. Od lewej Jolanta Nitkowska-Węglarz, prezydentka Krystyna Danileck-Wojewódzka i pani Ela



A tutaj jest i Frytka, czyli Edyta Szymkiewicz (druga od lewej)

MIEJSCE Z DUSZĄ

Adres Mickiewicza 6 w Słupsku znajdziemy w jednej ze słupskich baśni Jolanty Nitkowskiej-Węglarz. A to dlatego, że za nim urządził się tam magiel, był sklep spożywczy prowadzony przez mamę pisarki.

Mała Jola spędzała na jego zapleczu dużo czasu, często z zaproszonymi rówieśnika-

mi. Na wielkich workach z produktami mama rozkładała koce, a małe służyły do budowania zamków. Oczywiście były tam też skrzaty. Te same, które teraz pomagają w robocie i pani Eli, i pani Edycie. Jeżeli więc zastanawiacie się, dlaczego pościel z magla tak magicznie pachnie i dobrze się pod nią śpi, to już wiecie.

łam, warto by było zapracować na emeryturę. Mąż podpowiedział mi, że magiel elektryczny przy ul. Mickiewicza często jest zamknięty, bo zatrudnieni w nim przez PSS pracownicy szybko stamtąd odchodzą. Postanowiłam spróbować swoich sił - opowiadała pani Elżbieta dziennikarzowi „Głosu” Zbysz-kowi Mareckiemu w 2010 roku.

Zacząła jako pracownica PSS Spółem. Nie było łatwo. Miała do dyspozycji jedynie stary drewniany magiel ze skrzynią pełną ciężkich kamieni.

- Był bardzo ciężki w obsłudze, a efekt maglowania na zimno nie był zachwycający - opowiadała.

Po jakimś pół roku powiedziała szefom, że trzeba kupić nowoczesny magiel elektryczny, żeby usługa była profesjonalna. Kręcili nosem, nie chcieli na to wydać pieniędzy, więc zagroziła, że odejdzie. No i poskutkowało. Wymienili sprzęt. Obecna maszyna jest już trzecia. Kupiła ją, kiedy przejęła magiel na własność. Nie jest już może nowa, ale, ponieważ właścicielka bardzo o nią dba, magluje wszystko, jak należy - na „lustro” czy też „żyłetki”.

Klienci? Z każdym ma dobry kontakt

Kiedy zaczynała, ludzie chętnie i masowo przywozili do magla pościel, obrusy, ba, nawet chusteczki (naład się zdarza!). Małe pomieszczenie nie zawsze mieściło rzeczy klientów, więc część trzymała w samochodzie.

Największy kryzys dotknął ją podczas pandemii. Obecnie robota jest, chociaż nie aż tak dużo, jak kiedyś. Hotele, pensjonaty same sobie radzą, na rynku jest więcej materiałów niewymagających prasowania i maglowania. A jednak się kręci. Najbardziej cenni są oczywiście stali klienci, tacy, którzy bez wymaglowanej, pachnącej krochmalem pościeli i obrusów nie wyobrażają sobie porządnego domu. Dla

ich wygodę pani Elżbieta nawet, w razie potrzeby, zapewnia odbiór i dowóz rzeczy do maglowania na telefon.

A jak coś się czasem wydarzy? Jakiś guziczek się złamie czy coś się podrze? - Ten nie psuje, kto nie pracuje - mówi pani Elżbieta i dodaje, że zawsze załatwia z klientami sprawy jak trzeba. I nie ma ani jednego, który miałby do niej pretensje.

Nie tylko maglem pani Ela żyje

A poza maglem? Co porabia pani Elżbieta w wolnym czasie?

Kocha spacerować i jazdę rowerem po parkach i lasach. Lubi zwiedzać nieznane miejsca, ale nie za bardzo przepada za samymi długimi podróżami.

W telewizji preferuje kanał Discovery i w ogóle filmy dokumentalne. Na przykład detektywistyczne czy policyjne, kiedy może zobaczyć, jak fachowcy dochodzą do sprawy zbrodni „po nitce do kłębka”.

Albo filmy o medycynie, a to już sięga jej marzeń z dzieciństwa. Chciała zostać chirurgiem. „Leczyła” tabletkami z kamyków i operacjami „pacjentów” zrobionych z termoforów, którym dorabiała ręce, nogi i głowy. - Co te moje termofory takie pocięte - dziwiła się mama małej Eli.

Niestety, gospodarskiej córce nie było dane pójść na studia. Skończyła szkołę ubuwniczą, została cholewką-rzem, ale nigdy pracy w świetnie prosperującej wtedy słupskiej Alce nie podjęła. Nie mogłaby jej pogodzić z wychowywaniem dwójki dzieci.

Za to, kiedy już miała około 30., trafił jej się ten magiel. I był to, jak się okazało, szczęśliwy traf.

Na pytanie, które zadała jej na urodzinowej uroczystości prezydentka Słupska Krystyna Danilecka-Wojewódzka, jak długo jeszcze zamierza prowadzić ten interes, ze śmiechem odpowiedziała: - Do śmierci. Bo ja to Kocham!

©©

CHŁOPAK Z CHOJNIC ZAŚPIEWAŁ W OPOLU!

- Kiedyś John Lennon poradził koledze muzykowi: Napisz co masz na myśli, podłóż pod to muzykę i masz piosenkę. Chyba to najlepiej oddaje to, co chciałbym dawać innym – mówi Maks, chojnicki artysta, który zaśpiewał podczas 62. Festiwalu Polskiej Piosenki

Maria Sowisło

Maks Tachasiuk z Chojnic wystąpił podczas 62. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Jest pierwszym mieszkańcem tego miasta, którego można było podziwiać na scenie.

Jest na trzecim roku studiów prawniczych, ale kocha tworzyć muzykę. To z nią chciałby związać swoje życie. Wielka pasja przetrwała się właśnie w spełnianie marzeń. Maks Tachasiuk z Chojnic – bo o nim mowa – wystąpił podczas 62. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. To dla miasta historyczna chwila.

Maks Tachasiuk to młody i szalenie utalentowany chłopak. Na pierwszy rzut oka przypomina Dawida Podsiadłę. To pewnie z powodu wąsika.

- Wiele osób mi to mówi – uśmiecha się Maks. - Zapušci-

łem wąsy, bo bez nich wyglądam bardzo młodo. Naprawdę młodo – wyjaśnia i wcale nie ma nikomu za złe tego skojarzenia.

Muzyk z Chojnic do konkursu debiutów podczas 62. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu nominowany został przez Narodowe Centrum Piosenki. Zgłoszony został z kolei przez wytwórnię Fala Label, z którą rozpoczął współpracę. Choć, jak sam mówi, tworzy od zawsze, dopiero trzy lata temu zdecydował się na zaprezentowanie swojego pierwszego utworu „Knockerville”. Potem były kolejne, a wśród nich „Psy”, które mają już ponad 250 tysięcy odsłuchań na platformie Spotify. Właśnie „Psy” zaprezentował w Opolu, ale w nowej aranżacji.

Maks sam komponuje, pisze teksty i śpiewa. Jednym



FOT. WIKTORIA MAZIARCZYK

Maks Tachasiuk deklaruje, że nie potrafiłby żyć bez muzyki. Sam komponuje, pisze teksty i śpiewa

zdaniem – człowiek orkiestra. I to jaka! Każdy utwór jest inny, ale też każdy to opowieść. Nie ma przypadkowych wersów.

- Nie potrafiłbym żyć bez muzyki – zdradza Maks. - Stawiam na jakość i szczerość. Je-

stem takim miernikiem jakości dla samego siebie. Mam sporo kolejnych piosenek w głowie, ale muszę je dopracować. Chcę je zrobić najlepiej, jak potrafie. Wypuszczam je wtedy, kiedy uznaję, że mi się

podoba, więc muszą mieć dla mnie samego długi termin przydatności do słuchania. Jestem mile zaskoczony, że kiedy trzy miesiące temu wypuściliśmy „Psy” był wielki boom, który ut-

rzymuje się do dziś. Nie jest sztuką wypuścić coś na chwilę – dodaje Tachasiuk.

Maks jest skromnym człowiekiem, którego utwory zaskakiwać mogą brzmieniem. Słychać w piosenkach, że bawi się słowami.

- Kiedyś John Lennon poradził koledze muzykowi: Napisz co masz na myśli, podłóż pod to muzykę i masz piosenkę. Chyba to najlepiej oddaje to, co chciałbym dawać innym – mówi Maks Tachasiuk. - Dobra piosenka ze szczerymi słowami i autentycznym wykonaniem obroni się sama. Nie potrzebne są fa-

jerwerki. Wierzę w to – dodaje muzyk.

Inspiracją dla Maksa jest przede wszystkim raper Kendrick Lamar. Powód? Wszystko co robi, jest na 100 procent i do tego nie wstydzi się mówić lub opowiadać w utworach o swoich pasjach, lękach i traumatycznych przeżyciach. Jest autentyczny i nie oszukuje. Fani ubóstwiają go za to. Na liście ulubionych wykonawców Maksa jest też zespół Arctic Monkeys oraz Taco Hemingway.

Inny pomorski, tym razem malborski, akcent wybrzmiał także w czwartek podczas 62. Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. W koncercie „Debiuty” wystąpił zespół Solish, w którego skład wchodzi wywodzący się z Malborka wokalistki Karolina Sumowska i Paulina Czapla.

REKLAMA

0011342809

Amiblu®

Technologia z ludzką twarzą. Odpowiedzialność społeczna i ekologia zaczynają się lokalnie.

Są takie momenty, kiedy technologia spotyka się z naturą – i zamiast jej szkodzić, zaczyna jej pomagać. Właśnie w tym tkwi sens naszej obecności – pokazać, że można działać odpowiedzialnie, z szacunkiem dla środowiska i społeczności.

Choć na pierwszy rzut oka nasze produkty mogą wydawać się jedynie elementami podziemnej infrastruktury, to w naszej ocenie są one cichymi bohaterami w walce o wodę, klimat i bezpieczną przyszłość naszych miast. To dzięki nim możliwe są inwestycje, które pozwalają radzić sobie z suszą, ulewami czy degradacją środowiska – bez konieczności dewastowania przyrody.

W dzisiejszych czasach odpowiedzialność społeczna biznesu (CSR) staje się nieodłącznym elementem strategii wielu firm. Amiblu Poland doskonale wpisuje się w ten trend, łącząc swoją działalność z troską o otoczenie społeczne i przyrodnicze.

Lokalne zaangażowanie – Osowa i Dąbrowa to coś więcej niż adres

W Amiblu wierzymy, że odpowiedzialność społeczna zaczyna się od najbliższego otoczenia. Dlatego aktywnie angażujemy się w życie dzielnic, w których działamy – za-



Rura GRP Amiblu PROX

równo w gdańskiej Osowej, jak i w Dąbrowie Górniczej. Wspieramy inicjatywy sąsiedzkie, wydarzenia rodzinne, lokalne akcje edukacyjne i proekologiczne. Rodzinny Piknik w Osowej to dla nas nie tylko okazja do integracji, ale też wyraz gotowości do budowania pozytywnych relacji z mieszkańcami. Jesteśmy obecni, otwarci i chcemy pokazywać, że nowoczesna firma produkcyjna może być uczciwym, ekologicznym i społecznie odpowiedzialnym sąsiadem.

CSR z sercem – realne działania, nie deklaracje
W codziennej działalności Amiblu koncentruje się na projektach, które łączą nowoczesne technologie z troską o ludzi i środowisko. Dlatego systematycznie angażujemy się w inicjatywy pomocowe i wolontariackie.



Amiblu wspiera społeczność

Z okazji tegorocznego Dnia Dziecka zorganizowaliśmy zbiórkę darów dla dzieci z Domu Dziecka w Sarnowie oraz Gdańskiego Domu Integracyjno-Rodzinnego. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu pracowników udało się przekazać wyjątkowe prezenty – konsole, rowery, zabawki, książki, słodycze, artykuły szkolne i środki higieniczne. To jeden z wielu przykładów, w których dobro naprawdę wraca – a społeczna odpowiedzialność staje się wartością dzieloną przez cały zespół.

Ekologia w praktyce – od retencji po bezwykopowe inwestycje
W ramach ESG (Environmental, Social, Governance) ekologia to nie dodatek – to fundament naszej działalności. Nasze rury GRP są trwałe, lekkie i odporne na korozję.



Amiblu wspiera lokalne wydarzenia

Z powodzeniem są wykorzystywane w inwestycjach retencyjnych, modernizacjach kolektorów deszczowych czy instalacjach bezwykopowych – m.in. w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu czy pod Kolo-seum. To technologia, która działa po cichu, ale zmienia wiele – także dzięki niskiej emisyjności i minimalnemu wpływowi na środowisko. Nasza nowa rura – Amiblu PROX – to przykład tego podejścia: produkt o niskim śladzie węglowym, wykonany z materiałów odnawialnych, doceniony certyfikatem EcoVadis za zrównoważony rozwój.

Aktywność fizyczna – razem dla zdrowia i integracji
W Amiblu promujemy również zdrowy styl życia i aktywny sposób spędzania czasu. Od lat zachęcamy naszych pracowników do udziału w wydarzeniach sportowych – ta-



Medal Półmaraton Dąbrowy Górniczej
Amiblu i X Osowski Ekofestyn

kich jak biegi czy firmowe rywalizacje na kroki. W tym roku na tapet wzięliśmy dwie inicjatywy, tj. półmaraton w Dąbrowie Górniczej i Gdańsku, biegnąc nie tylko po rekordy, ale przede wszystkim – w duchu zespołu i dobrej energii. Bo wspólne bieganie to nie tylko ruch – to wspólnota.

Podsumowanie: Rura, która zmienia świat? Tak! A to dopiero początek...
Nie oczekujemy, że ktoś zachwyci się rurami. Mamy jednak nadzieję, że doceni to, co za nimi stoi: wartości, zaangażowanie, uczciwość wobec ludzi i planety. A o to właśnie chodzi w naszej filozofii ESG – by w miejscach, gdzie technologia spotyka się z naturą, nie zostawiać śladu, ale tworzyć coś dobrego. Wierzymy, że nawet rura może zmieniać świat, a każda zmiana zaczyna się lokalnie.

ETNOFILOLOGIA KASZUBSKA NA UG - JEDYNY TAKI KIERUNEK W POLSCE

Fragment wywiadu z dr Justyną Pomierską, Przewodniczącą Rady Programowej kierunku Etnofilologia kaszubska, Kierowniczką studiów podyplomowych Nauczanie języka kaszubskiego

Rozmawiała Magdalena Nieczuja-Goniszeewska

W tym roku obchodzimy 10-lecie etnofilologii kaszubskiej.

Pierwszy rocznik zaczął w roku akademickim 2014/15. Zaplanowaliśmy jubileusz w ramach 4. Gdańskich Dni Kaszubskich, bo etnofilologia kaszubska to jedyny taki kierunek w Polsce i to powinna być nasza gdańska wizytówka.

Co odpowiada pani na pojawiające się czasami zarzuty o rentowności kierunku i sensowności utrzymania go?

W okoliczności jubileuszu powiem, że pewnie w skali uniwersytetu 24 absolwentów to mało, ale dla społeczności kaszubskiej to 24 kaszubistów legitymujących się dyplomem studiów wyższych. Pracują na rzecz Kaszub i Pomorza. Pomogliśmy im rozwinąć kompetencje językowe i społeczne, a oni teraz zasilają region w szkołach, w mediach, w instytucjach kultury i - oddają z nami więź. Z mojej perspektywy to bardzo intratny kierunek: uprawnienia nauczycielskie już po trzech latach, a nie po pięciu. Studenci nienauczycielscy mogą kształtować swój rozwój bardzo indywidualnie: edytorstwo, dziennikarstwo czy kulturoznawstwo? Każda opcja. Język kaszubski staje się przepustką do mediów i innych instytucji kultury. Nie ma ostatnimi laty problemu z rekrutacją dzięki przywilejom do 26 roku życia, ale to rozwiązuje problem tylko na starcie. Studentów na pierwszym roku jest mało, a podczas studiów jeszcze ubywa. Z różnych powodów, jak na każdym kierunku. Ci, którzy po pierwszym semestrze zostają, realizują jakieś swoje zamiary. Często są aktywni w miejscu zamieszkania, działają w organizacjach pozarządowych, w zespołach artystycznych, chórach. Gdy przychodzą na zajęcia, to aby uczyć się, a nie

tylko przyjść. Nie wszyscy mieszkają w Gdańsku, wracają codziennie do siebie, niech żyje pkm-ka!

Czy zdarzają się też studenci z innych regionów kraju?

Był jeden spod Warszawy, po semestrze zrezygnował, chciał tylko ogólnie poznać kulturę kaszubską. W drugim roczniku była Arina, przyjechała z Ukrainy we wrześniu, na UG nie było już innych rekrutacji. Myślę, że dzięki temu, że trafiła do świetnej grupy, studiowała i skończyła studia, pisząc na koniec bardzo ciekawą pracę o antropimach z „Kubusia Puchatka”. „Miedzwiołk Püfötk” jakoś świeżo został przetłumaczony na kaszubski, ona porównała nazwy kaszubskie z przekładem polskim, rosyjskim i ukraińskim. Aktualnie nie zajmuje się niczym kaszubskim. Ale jest Karolina z Kutna! Z tej samej grupy, co Arina, ona to wsiąkła w Kaszubów i w Trójmiasto całą sobą! Nauczycielka kaszubskiego, nadzwyczaj zaangażowana w edukację Montessorii, opracowała kaszubskie karty Montessorii i coraz to nowe pomoce wymyśla. I Weronika z Bydgoszczy też uczy, wierszyki o Aczipace pisała... nawet maturę z kaszubskiego zdawała, aby się sprawdzić i w tej swojej bydgoskiej szkole kaszubski promować.

Czy wszyscy studenci to młodzi ludzie, po maturze?

Wiekowo to dość różnorodna grupa. I nie tylko wiekowo, np. na pierwszym roku zostały teraz same dziewczyny, na drugim jest dwa razy więcej mężczyzn. I co dla mnie, szkolnej (pol. nauczycielka), szczególnie dotkliwe, jest odwrót od specjalności nauczycielskiej. Na 24 absolwentów 23 jest nauczycielskich, dwa lata temu Małgosia Walasek ukończyła specjalność „język kaszubski w praktyce kulturowej”; graficzka, współtwórczyni Aczipaki i autorka naszego logo i jubileusz-



Dr Justyna Pomierska: Życzę etnofilologii kaszubskiej trwania i rozwoju

NIKTÓRZY UCZYLI SIĘ KASZUBSKIEGO W SZKOLE, KILKORO NAWET ZDAWAŁO MATURE Z KASZUBSKIEGO, A POZOSTALI TO PASJONACI

wych zaproszeń. A teraz studują przede wszystkim nienauczycielscy. Ta specjalność kulturowa to oryginalne rozwiązanie programowe, Szymon, który może kiedyś te studia skończy mawiał, że „studiuję jak na Oxfordzie”: studenci wybierają zajęcia ze specjalności na filologii polskiej, a charakter kaszubski nadają im praktyki w kaszubskich instytucjach kultury. To bardzo ekonomiczne rozwiązanie. Na profilu praktycznym praktyki mają 720 godzin, 24 ECTS-y. To bardzo dużo, a współpracujemy z najlepszymi! I to jest skuteczny plan kształcenia umiejętności profesjonalnych.

Macie tak różnych kandydatów. Czy w związku z tym uczyć języka kaszubskiego od podstaw?

Tak, informujemy o tym w opisie w rekrutacji. Początek jest trudny, bo trzeba studentów zintegrować, żeby chcieli się uczyć w tak zróżnicowanej pod względem stopnia znajomości języka grupie.

Niektórzy mówią już po kaszubsku?

Z domową kaszubszczyzną to coraz trudniej... Niektórzy uczyli się kaszubskiego w szkole, kilkoro nawet zdawało maturę z kaszubskiego, a pozostali to samouki. To pasjonaci. Różnicowanie językowe w kaszubszczyźnie jest cenne, mamy nadzieję, że nie niszczy my go w toku studiów. Nasi lektorzy to Kaszubi, co byśmy o nich mogli powiedzieć native speakerzy. Wszyscy mają wielką wrażliwość na rodzimą mowę (język ojczysty). Jednakże pracujemy na tekstach, czyli z kaszubszczyzną literacką. To trzeba umiejętnie wyważyć. Ostatnio coraz częściej przychodzą też tacy, co nauczyli się kaszubskiego sami: z książki, z Internetu, nawet na korepetycjach! Na uczelni staramy się mówić ze sobą po kaszubsku. Między zaj-

ęciami, w takiej swobodnej rozmowie.

A jak w takim razie uczycie, żeby wyrównać umiejętności studentów?

Kiedy tworzyliśmy 10 lat temu program studiów, to mieliśmy doświadczenie ze studiów podyplomowych, gdzie doświadczone nauczycielki, Danka Pioch i Wanda Kiedrowska postulowały, aby były takie zajęcia pn. „Zasoby regionów w pracy nauczyciela kaszubisty” i na etnofilologii kaszubskiej też chcemy, aby student jak najszybciej poszedł w teren. Żeby usłyszał, jak mówi fejn Kaszëba, jakiś działacz społeczny, pisarz, dziennikarz. Aby się osłuchał i rozgadał. I dzięki tym wyjazdom młody człowiek nabiera wyobrażenia, gdzie chciałby pracować. Bo jest niezwykle istotne, żeby wyjść z ławki, żeby student zobaczył nasze muzea, stowarzyszenia, redakcje mediów i przede wszystkim poznał ludzi! Przez 8 lat praktyczną naukę języka w terenie prowadził redaktor Dariusz Majkowski - dziś związany z Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie i portalem moje-strone.com - i nadał tym zajęciom wyrazisty rys: wyjazd raz na 2 tygodnie, w ważne dla kaszubszczyzny miejsce, jakieś zjawisko kulturowe i oczywiście człowiek. Fejn Kaszëba. Darek ze studentami byłwał i w Luzinie w Krysi Lewny, i w Borzestowie na spotkaniach „Remusowego Kręgu”, które organizuje Bronek Cirocki, wieloletni chorąży sztandaru Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. I koniecznie odwiedzali festiwal w Lipnicy, gdzie można spotkać Anię Gliszczyńską i usłyszeć młodych ludzi śpiewających kaszubskie covery. To niezwykle inspirujące wydarzenie. Wyjazdy w teren bywają kłopotliwe, łatwiej jest, jak na roku jest ktoś z samochodem. Ale i skm-ką można dojechać: do MPiMKP do Wejherowa i do Redy, gdzie sie-



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Kaszuby to jeden z piękniejszych regionów Polski z własną kulturą i językiem

dziba „Kaszëbë i swiat” Adama Hebla i „Zakątek wyobraźni” Ani Hebel, do Gdyni, gdzie Oficyna Czeć i Kaszubskie Forum Kultury, w którym Andrzej Busler, a teraz nawet pracuje nasza absolwentka. We Wrzeszczu jest Redakcja kaszubska Radia Gdańsk, na Straganiarskiej Dom Kaszubski. Po tylu latach już dobrze znamy adresy, gdzie te zajęcia są efektywne.

W ten sposób naprawdę można poznać Kaszuby. Gdzie jeszcze jeździmy... do Muzeum w Pucku, gdzie

pracuje Roman Drzeżdżon, który prowadzi także zajęcia na UG z czytania tekstów folkloru. Niezwykłym miejscem jest Kamienica Szlachecka, gdzie wręczane są Ryngrafy Witosława i Steżycy, gdzie mieszka Wanda Kiedrowska, nestorka kaszubskiego dyktanda. Gości studentów u siebie, a ten dom, ta jej paradiż (duża izba), to charyzmatyczne miejsce. Mamy dwóch ważnych interesariuszy zewnętrznych: Muzeum w Wejherowie, gdzie na drugim roku odbywają się zajęcia kultury żywego słowa,

w ramach których studenci przygotowują projekt. Pierwszy był etiudą teatralną prezentowaną na scenie sali teatralnej podczas Dni Otwartych Funduszy Europejskich. To chyba się nazywało Babel – rekonstrukcja! Studenci różnych kierunków neofilologicznych przygotowywali krótkie scenki i kaszubiści też wzięli w tym udział. Etiuda miała tytuł „Gdzie diöbët ni möże, tam babã pòśle” i była bardzo zabawna. Przygotowali to z Tomkiem Fopkem. Przez te kilka roczników zrealizowano w ramach projektu



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Kaszubi realizują wiele inicjatyw społecznych opartych na wspólnej tradycji i historii

kilka fajnych rzeczy: słuchowisko radiowe, materiały promocyjne na Narodowy Spis Powszechny, numer „Zymku” (czasopismo literackie), odcińki pn. „Minuta z literaturą kaszubską”, tomik wierszy Danuty Charland, audiobook do opowiadań Mamelskiego, a ostatnio SLAM kaszubski. Drugim ważnym interesariuszem jest Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. W ogóle Dom Kaszubski na Straganiarskiej to super miejsce do realizacji praktyk. To siedziba Instytutu Kaszubskiego i ZKP, czyli też redakcja miesięcznika „Pome-

rania”, księgarnia kaszubska-książka.pl, wydawnictwo i przede wszystkim biuro Zarządu Głównego ZKP, które ogłasza różne kaszubskie inicjatywy społeczne, np. Gdańskie Dni Kaszubskie. Z Lucyną Radziwińska, która od wielu lat zajmuje się oświatą, od dekady organizujemy na uniwersytecie konferencje metodyczne dla nauczycieli języka kaszubskiego.

Czego życzyłaby pani etnofilologii kaszubskiej? Chciałabym, żeby absolwent etnofilologii kaszubskiej miał

uprawnienia do uczenia języka również w klasach I-III. Chciałabym, aby każdy rocznik zasilala mocna ósemka! Chciałabym, aby na uczelni było więcej o Kaszubach i Pomorzu w ogóle... Ale czego miałam życzyć? Życzę etnofilologii kaszubskiej trwania i rozwoju.

Cały wywiad pt. „Kaszubski: małymi kroczkami oswajamy ludzi” na stronie www.ug.edu.pl. Rozmawiała Magdalena Nieczuj-Goniszewska, Rzeczniczka Prasowa UG

AUTOPROMOCJA

0011348546

Zawody Rowerkowe dla dzieci w Sopocie



Monika Latkowska
Nasz akcja

Już w sobotę, 21 czerwca zapraszamy wszystkie dzieci w wieku od 3 do 5 lat na wyścigi rowerkowe w Sopocie. Tym razem spotykamy się przy hotelu Aqua House Sopot.

Zawody Rowerkowe to nie tylko sportowa rywalizacja dla najmłodszych, ale przede wszystkim rodzinne święto ruchu i wspólnego spędzania czasu. W tym dniu tereny rekreacyjne za hotelem Aqua House Sopot (ul. Zamkowa Góra 21) zamieni się w kolorową, gwarno-rowerową przestrzeń, gdzie dzieci w wieku od 3 do 5

lat przeżywają swoje pierwsze sportowe emocje, a ich bliscy kibicują z dumą i wzruszeniem. To wyjątkowe wydarzenie skupia nie tylko uczestników, ale całą lokalną społeczność.

Celem zawodów jest nie tylko dobra zabawa, ale również promocja zdrowego stylu życia i popularyzacja roweru jako środka transportu i źródła rado-



FOT. ARCHIWUM

ści dla najmłodszych. Wydarzenie łączy sportową rywalizację z rodzinną atmosferą i rekreacją – a wszystko to bezpłatnie, z pełnym zapleczem medycznym i organizacyjnym!

W tych zawodach nie ma przegranych. Każdy mały uczestnik, który stanie na mecie, otrzyma medal, dyplom i stanie na podium. Dodatkowo każdego

małego mistrza uwiecznimy na zdjęciach, które znajdziecie na naszej stronie. To doskonała okazja, by już od najmłodszych lat budować w dzieciach poczucie dumy i pewności siebie.

Wydawanie numerków startowych rozpocznie się o godzinie 10:00, a o 11:00 na trasę wyruszą najmłodszy zawodnicy – trzylatki. Warto przyjść odpo-

wiednio wcześniej, by dziecko mogło spokojnie przygotować się do startu.

Jak zapisać dziecko?

Wejdź na stronę www.dziennikbaltycki.pl/rowerkisopot i wypełnij formularz zgłoszeniowy. Zapisy prowadzimy do 19 czerwca lub wyczerpania miejsc. Do zobaczenia na starcie!

ORGANIZATOR



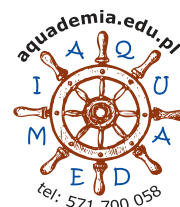
PARTNER LOKALIZACYJNY



PARTNERZY



ORLEN
OIL



PARTNER REGIONALNY



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

MOUNT EVEREST I 130 PROCENT PRAWDY O ZDOBYWANIU SZCZYTU

– Zdobycie Everestu było na pewno jedną z najcięższych rzeczy, które zrobiłem w życiu, jeśli nie najcięższą. Kilkanaście dni temu stałem na szczycie, a zmęczenie jest cały czas odczuwalne. Mój organizm żył w jakimś potwornym stresie przez ostatnie 1,5 miesiąca, ale jest to cena, stosunkowo niska, którą musiałem zapłacić za to, że stanąłem na dachu świata – mówi Michał Leksiński, wspinacz, himalaista, działacz społeczny, kompletujący Koronę Ziemi

Tomasz Cbudzyński

Zdobyl pan Mount Everest. Gratulacje!
Dziękuję. Łatwo nie było.

Zatem Everest był najtrudniejszym szczytem spośród tych, które pan dotychczas zdobył? Ma pan porównanie, bo ma pan na koncie osiem szczytów Korony Ziemi...

Patrząc wstecz na mój górski dorobek, to Denali na Alasce (najwyższy szczyt Ameryki Północnej - red.) oparło mi się dwukrotnie. Na dodatek miałem tam parę „przebojów”. Pogoda była bardzo ciężka, bywało też niebezpiecznie – jeden z moich partnerów odpadł od ściany, a zatrzymanie jego upadku poskutkowało u mnie wybitym barkiem. Obie góry różnią też dystanse. Na Denali są one bardzo długie. Już pierwszego dnia trzeba pokonać około 12 km, w trudnych warunkach. Dystans do Everestu od cywilizacji jest ogromny, ale etapy, w czasie których się go pokonuje liczą dziennie 10 km czasem 5 km a nawet 2 km. To zupełnie inne odległości. Kolejna rzecz – na Denali wspinacze są zdani całkowicie na własne siły, od samego początku. Niewielki samolot zostawia wyprawę na lodowcu kilkadziesiąt km od góry. To kompletne, lodowe, pustkowienie. Ludzie biorą cały bagaż na plecy, sanie i rozpoczynają wędrówkę. Z Everestem jest inaczej. To jest bardzo wieloetapowa, rozciągnięta w czasie wyprawa. Może trwać nawet dwa miesiące, w zależności od tego, jak ułoży się okno pogodowe. Część naszego sprzętu trafia do bazy osobnym transportem. W czasie ośmiodniowego trekkingu z Lukli, gdzie znajduje się lotnisko, do bazy pod Everestem nie niesiemy zbyt wiele na własnych plecach. Sama baza to prawdziwe, wysokogórskie miasteczko z całkiem niezłą infrastrukturą, w której mieszka się, przygotowując do akcji górskiej.



Michał Leksiński w drodze do bazy pod Everestem. - Tej góry nie da się zdobyć bez woli walki i przygotowania - mówi

Odpowiedź o skalę trudności wydaje się więc oczywista...

Wielu doświadczonych wspinaczy wskazuje, że Denali jest trudniejsze od Everestu. Moje osobiste doświadczenie jest podobne, bo przecież najwyższej góry Ameryki Północnej nie zdobyłem, mimo dwóch wypraw, a na najwyższy szczyt globu wszedłem za pierwszym podejściem. Natomiast po tym, co zobaczyłem pod Everestem, czego doświadczyłem na zboczach tej góry, twierdę stanowczo, że pomiędzy bajki należy włożyć wszystkie obiegowe historie o tym, że na szczyt Czomolungmy można kogoś wnieść, za odpowiednie pieniądze. Owszem, Sierpowie mogą sporo pomóc. Jednak ilość przeszkód, które trzeba pokonać, żeby dotrzeć na ten szczyt, jest po prostu ogromna. Nie da się tego zrobić bez osobistego zaangażowania, przygotowania, zmagania i woli walki. Zdobycie Everestu było na pewno jedną z najcięższych rzeczy, które zrobiłem w życiu, o ile wręcz nie najcięższą.

Przed wyprawą podkreślał pan trudności, jakie rodzi już przejście przez tzw. Lodospad (Icefall) – labirynt lodowych gór poprzecinany głębokimi szczelinami. To początkowy etap wejścia na górę. Za to mniej mówił pan o samym ataku szczytowym...

Mówiłem mniej o ataku szczytowym, bo to wynikało z pewnej strategii dzielenia wyprawy na etapy. Przed wyjazdem bardziej myślałem o Icefallu, bo był po prostu pierwszą, dużą przeszkodą. Bezsprzecznie jednak to atak szczytowy był momentem najtrudniejszym. Wymagał najwięcej wysiłku, skupienia, i to w warunkach kulminacji zmęczenia. Ja oraz inni wspinacze spędziliśmy wiele dni w bazie, czekając na okno pogodowe i sygnał do ataku szczytowego. Trzeba dodać, że baza pod Everestem znajduje się na wysokości 5,5 tys. me-

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

trów. To niemal wysokość Kili-mandżaro, na której żyjemy w czasie wyprawy niemal miesiąc. Na takiej wysokości człowiek nie wypoczywa, nie regeneruje się zbyt, nie jest to środowisko, w którym czuje się komfortowo. Oddycha się bardzo suchym powietrzem. Codzienne wyjście z namiotu i przejście do toalety czy do mesy wywołuje zadyszkę. Nikt przed atakiem szczytowym, po okresie wyczekiwania w bazie, nie jest wypoczęty.

Cały, finalny szturm góry to, zaznaczymy, kilka dni ciężkiego, fizycznego i psychicznego znoju.

Gdyby rozłożyć atak szczytowy na części pierwsze to zabrzmi on trochę jak plan szaleńca. Wychodzi się w nocy, przechodzi się przez Icefall. Nocna pora jest paradoksalnie najbezpieczniejsza, bo w słońcu Lodospad się topi, jest bardziej ślisko, szczeliny potrafią się powiększyć. W drodze na szczyt pomija się obóz pierwszy, idzie się od razu do drugiego (6 tys. 400 m). To jest ciężki, długi dzień. W obozie drugim odpoczywa się cały dzień i następnego dnia wychodzi się do obozu trzeciego (7 tys. 100 m). To jedyny na tym etapie zdobywania góry, krótki, trwający ok. czterech godzin odcinek wspinania. W obozie trzecim pobudka jest o godzinie trzeciej nad ranem, godzinę później rozpoczyna się trwający 8 godzin etap, prowadzący na Przełęcz Południową, na 8 tys. metrów. W znajdującym się tu obozie czwartym odpoczywa się kilka godzin. Niektórzy potrzebują więcej, niektórzy mniej czasu. Pamiętać trzeba, że to już jest tzw. strefa śmierci, z bardzo rozrzedzonym, morderczym powietrzem, w której przebywanie jest szkodliwe dla organizmu. Zazwyczaj wyrusza się do ataku szczytowego o godzinie 22.00. My jednak ruszyliśmy po 6 godzinach odpoczynku o na Przełęcz Południowej o około 18.00. Dojście do szczytu trwa 10 godzin. Idzie się całą noc, na wierzchołek wspinacze docierają nad ranem. Jest kilka-kilkanaście minut na zdjęcia i kontemplację, i rozpoczyna się zejście. To kolejne 10 godzin. W sumie cała doba, z niewielkimi przerwami, właściwie bez normalnego posiłku, bo na tej wysokości organizm i tak nie trawi. To ogromny wysiłek – koszt, który bardzo długo się spłaca.

Rozumiem, że wciąż pan Everest odchorowuje...

Miałem sposobność wrócić szybciej spod Everestu do Katmandu, a potem do Polski. Kilkanaście dni temu stałem na szczycie, a zmęczenie jest cały czas odczuwalne. Zaczynam się powoli regenerować, ale tylko dzięki temu, że wspie-

rała mnie przed wyprawą medycznie moja żona, która jest lekarką, oraz klinika, w której pracuje. Jestem dla nich bardzo ciekawym i wdzięcznym obiektem badań.

Co mówią wyniki?

Jeśli chodzi o samo ciało, kwestie mięśni, układu oddechowego itp., nie jest źle. To zresztą pewnego rodzaju świadectwo tego, jak duża praca została wykonana przed wyprawą. Natomiast biochemia pokazuje, że mój organizm był po Evereście zajęchany kompletnie. Badania krwi pokazały, że w „baku już nie było paliwa” kompletnie, że organizm żył w jakimś potwornym stresie przez ostatnie 1,5 miesiąca. Teraz trzeba to wszystko odwrócić. To jest cena, stosunkowo mała, którą musiałem zapłacić za to, że stanąłem na dachu świata.

Jest pan doświadczonym wspinaczem i wie pan, jak radzić sobie z kryzysami w czasie wypraw. Czy tym razem takie trudne momenty się pojawiały?

Żeby to jeden... W czasie wypraw pytanie nie brzmi, czy kryzys się pojawi, ale kiedy. To doświadczenie, o którym pan mówi, pozwala sobie z nimi radzić. Przy ekspedycji trwającej prawie dwa miesiące jednym z takich kluczowych najtrudniejszych problemów była tęsknota za rodziną. Pojawiały się wątpliwości - jeszcze tyle zostało do zrobienia, bliscy są parę tysięcy kilometrów ode mnie... Czy ja mam w ogóle taką moc i siłę, żeby na ten szczyt wejść? Widziałem potężnego Szkota, który również się wspinał w naszej ekipie, a przy jednej z kolacji w bazie zalał się łzami, bo tęsknił do swojej dwuletniej córki. To są zwyczajnie ludzkie emocje, które dopadną każdego. Dobrze wtedy mieć ludzi gdzieś wokół... W trakcie samego ataku szczytowego, pojawiają się raczej kryzysy czysto fizyczne, związane ze zmęczeniem. Jest 130 proc. prawdy w powiedzeniu, że na Everest ostatecznie wchodzi się głową. Trzeba znajdować w sobie siłę, energię, żeby zrobić każdy, kolejny krok. Na pewno trudnym momentem są też te momenty, kiedy trzeba minąć zwłoki.

Himalaizm to sport ekstremalny. Co roku na zboczach ośmiotysięczników zostaje na zawsze kilku-kilkunastu wspinaczy. Zwłoki trudno jest z takich wysokości znieść...

Jeśli ktoś zna historię góry, jej wypraw, pamięta na pewno tragiczny sezon roku 1996, kiedy zginęło mnóstwo ludzi. Za tzw. Wierchołkiem Południowym Everestu jest taka mała jama śnieżna, przy której robi się przerwę na chwilę odpoczynku. W tym miejscu spoczywa Rob Hall, słynny hima-



Godz. 4.45. Michał Leksiński na szczycie Everestu



Na Dachy Świata. Widoki są spektakularne



Obóz IV w strefie śmierci. Do szczytu jeszcze 10 godzin drogi

laista z Nowej Zelandii. To w tym miejscu rozmawiał z żoną ostatni raz, przed samą śmiercią. Widok zwłok jest jednym z trudnych momentów. A trzeba dodać, że i w tym sezonie na Evereście zginęło 5-6 osób.

Zupełnie inne emocje były zapewne na szczycie...

Na szczycie jest dużo emocji, ale ja starałem się je poniekąd tłumaczyć. Ostatecznie dominującą myślą była ta, żeby stamtąd uciekać. Chwilę pocelebrować szczyt, ale jak najszybciej schodzić. Miałem poczucie, że je-

stem w miejscu, które nie jest dla mnie do końca przeznaczone.

Jeszcze w zeszłym roku mówiliśmy o kolejkach do szczytu. Wspinaczy jest wielu, a okno pogodowe krótkie. W miejscach takich jak Uskok Hillary'ego czy wąski trawers zaraz za Wierchołkiem Południowym, gdzie tuż przed szczytem ludzie stoją nawet po godzinę w korku...

Były pogłoski, że po pamiętnym trzęsieniu ziemi w roku 2015 r. Hillary Step zmienił się, przestał być trudnym elementem drogi do szczytu, swego

rodzaju ścianką wspinaczkową, a bardziej stokiem do przejścia. Okazało się jednak, że to nieprawda. Uskok jest i trzeba trochę się tam pomocować, powspinać. Ja miałem bardzo dużo szczęścia i korków niemal nie doświadczyłem. Ruszyliśmy o godzinie 19.00, byłem w jednej z pierwszych grup, które atakowały szczyt. Szliśmy sprawnie. Na wierzchołku byłem z moim Szerpą o godzinie 4.45. Było właściwie pusto, spokojnie, okolice Uskoku i tzw. Cornice Traverse, które często się korkują, pokonałszy bez problemu. Pierwsze, większe grupy wspinaczy napotkaliśmy dopiero za Wierchołkiem Południowym, kilkaset metrów niżej, już na terenie stosunkowo bezpiecznym, o ile można tak część strefy śmierci nazywać. Zatory w miejscach, które są „wąskimi gardłami”, rzeczywiście się tworzą. Mówiono nam, by się nimi nie przejmować, że zazwyczaj ludzie powoli, ale się poruszają. Niemniej jest to dość niebezpieczna sprawa. Ja ustaliłem z moim Szerpą, że wyjdę jak najszybciej do szczytu, by takiego zagrożenia uniknąć. Może miałem nieco gorsze zdjęcia, bo porą bardziej nocną, postawiłem jednak na sprawnie wejście i zejście. Na szczycie byłem kwadrans.

Nie zgodzę się, że miał pan gorsze zdjęcia. Widoki są spektakularne.

Tak, takie są. Widać szczyty Makalu, Lhotse... To co mnie zawsze fascynowało, co można już dostrzec z poziomu 7000 m, np. ze szczytu Aconcaguy (najwyższy szczyt Ameryki Płd.), to krzywizna Ziemi. Ze szczytu Everestu jest ona wyraźna. To daje do zrozumienia, że jest się naprawdę wysoko.

Czyli był moment na przeżycia duchowe, kontemplowanie potęgi natury.

To jest oczywiste. Tu z pomocą przychodzi sama taktyka zdobywania góry. Część wyjść między obozami realizuje się bardzo wczesnym porankiem lub w nocy. Lodospad lepiej przechodzić nocą zamarznięty, dolinę Western Cwm, między obozami pierwszym i drugim, wczesnym rankiem, bo za dnia, w słońcu, robi się tam potężny piekarnik, który jest nie do zniesienia. Zatem po zakończeniu działań górskich, każdego dnia wspinania zostaje sporo czasu na przebywanie w obozie. Człowiek zatrzymuje się, patrzy na te wszystkie widoki. I jest wtedy miejsce na rozmyślanie. Choć mam wrażenie, że skala tego, co się zrobiło, dociera do zdobywców Everestu post factum. Ja tak miałem. Po powrocie na nizinę analizowałem raz jeszcze całą tę drogę - 65 km trekkingu do bazy, zdobywanie pobliskich sześciotysięczników,

atak szczytowy. Czuję, że miałem duże szczęście, bo z tego, co wiem, to w tym sezonie wydano około 520 około pozwoleń na wejście na Everest, a szczyt zdobyło nieco ponad 200 osób. Czyli nawet nie połowa.

Everest nie musi być dla każdego. Pan jest doświadczonym wspinaczem, dobrze przygotowanym. Potwierdzi pan opowieści o bogatych snobach, którzy postanowili zdobyć Everest, choć z górami wcześniej wiele wspólnego nie mieli?

W grupie międzynarodowej, w której się wspinałem, było sporo osób, które nie weszły na szczyt. To oczywiście jest też element szczęścia, bo ktoś dobrze przygotowany mógł zachorować, mieć wypadek, awarię sprzętu czy nie trafić w pogodę. Widziałem tam jednak najróżniejsze sceny. Ja jestem w górach praktycznie samodzielnym, technicznie sprawnie przeszkody pokonuję. Niestety, było jednak trochę ludzi, którzy, mam wrażenie, porwali się na Everest. Ich umiejętności, możliwości fizyczne były kiepskie, tempo bardzo wolne. Nie mówię o wyścigach, ale sprawność, szybkość to jedna z istotnych cech odzwierciedlających gotowość do działania w górach. Jedna z Chinek, której pożyczyłem latarkę, na 6-tysięczny szczyt Lobuche East, który zdobywa się w ramach tzw. aklimatyzacji, wchodziła 16 godzin. A powinna w około 6.... Ona się z wyprawy wycofała, stwierdziła słusznie, że nie jest gotowa. Może wróci za dwa, trzy lata. I dzięki Bogu. Ale byli tacy, którzy mimo tego, że ich tempo było fatalne, pod tę górę brnęli. Na szczyt oczywiście nie weszli, bo Everest ich siły szybko wydręnował.

Góry zdobywa pan, mając także i szczytny, charytatywny cel. Reprezentuje pan Fundację Happy Kids, dla której organizuje pan zbiórki.

Każdą wyprawę poświęcamy pewnemu projektowi. Ta na Everest była poświęcona programowi usamodzielnienia osób z domu dziecka, które wchodzi w dorosłość. Jest to trochę metafora - w sensie, że każdy ma swój Everest. Jest też wymiar typowo promocyjny, bo flaga fundacji bywa ze mną na szczytach, a o fundacji mówię wszędzie, gdzie się da. Zbiórka na program, o którym mówiłem, trwa, nie zakończyła się razem z wyprawą. Równolegle rozmawiam z partnerami, sponsorami mojej wyprawy, bo część z nich jest też zainteresowana pomocą fundacji. Myślę, że cel osiągniemy. Niebawem będę odwiedzał Fundację, by zabrać ich w podróż na Everest. Weszliśmy tam razem.

FOTOkomentarz tygodnia



11 CZERWCA, WARSZAWA. Po wyborach to nie prezydent-elekt, ale Państwowa Komisja Wyborcza znalazła się w centrum uwagi. Wszystko przez wątpliwości wokół liczenia głosów. Ostatecznie PKW wręczyła Karolowi Nawrockiemu zaświadczenie o wygranej w wyborach. Może teraz będzie o niej ciszej...



9 CZERWCA, USA. W Los Angeles trwają gwałtowne zamieszki będące reakcją na politykę migracyjną Donalda Trumpa. W mieście wprowadzono godzinę policyjną, wysłano tam Gwardię Narodową



8 CZERWCA, BIAŁYSTOK. „Kręć się, kręć, wrzeczono” - każdy zna ten wers „Prząśniczki”; mało kto wie, jak to wygląda w praktyce. Można się było o tym przekonać samemu podczas VI Festiwalu Tkactwa

REKLAMA

0011350658



Zarząd Powiatu Wejherowskiego ogłasza konkurs na kandydata na stanowisko

Dyrektora Powiatowego Zespołu Szkół nr 2 im. Hipolita Roszczynialskiego w Rumi 84-230 Rumia, ul. Grunwaldzka 57.

Treść ogłoszenia o konkursie dostępna jest na stronie internetowej Starostwa Powiatowego w Wejherowie www.powiatwejherowski.pl w dziale Aktualności i na podstronie Wydział Edukacji, w Biuletynie Informacji Publicznej Starostwa Powiatowego w Wejherowie www.bip.powiatwejherowski.pl oraz na tablicy ogłoszeń w Starostwie Powiatowym w Wejherowie.

REKLAMA

0011348137

SPRZEDAM budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m²,
powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

AUTOPROMOCJA

Dziennik Bałtycki

Dzień dobry
w **poniedziałek**

Kup dziennik
z dodatkiem
Sportowy24

dziennikbaaltycki.pl

AUTOPROMOCJA

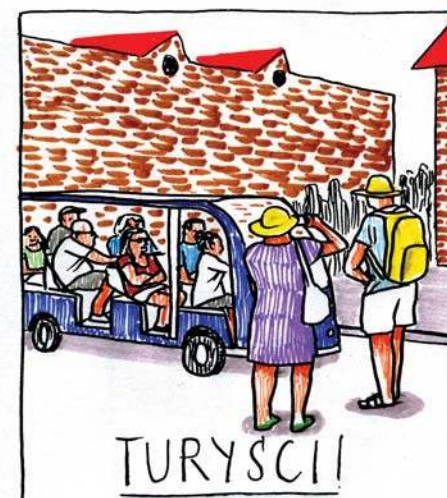
Dziennik Bałtycki

Wtorek
się liczy

Kup dziennik
ze Strefą Biznesu

dziennikbaaltycki.pl

REJSUNKI



„Biorąc pod uwagę okoliczności i utratę zaufania do selekcjonera reprezentacji Polski, postanowiłem do czasu, kiedy jest trenerem, zrezygnować z gry w reprezentacji Polski. Mam nadzieję, że będzie dane mi jeszcze zagrać dla najlepszych kibiców na świecie”.

Robert Lewandowski 8.06.2025

PULS

#168



AFERA BEZ WYGRANYCH. PIASKOWNICA, DZIECINADA, GÓWNIARZERIA...

To zadziwiające, że Michał Probierz, odbierając – podczas rozmowy telefonicznej – opaskę Robertowi Lewandowskiemu wydał wojnę naszemu legendarnemu kapitanowi, której nie mógł wygrać. Selekcjoner zdecydował się na straceńczą misję, która kosztowała go posadę

Adam Godlewski, Jacek Czaplewski

Byle już selekcjoner miał swoje racje, których Lewandowski dostarczył, rezygnując z udziału w czerwcowym zgrupowaniu drużyny narodowej, podczas którego zaplanowany był najważniejszy mecz półroczny – z Finlandią w Helsinkach – a wcześniej pożegnanie wybitnego reprezentanta Kamila Grosickiego. Kapitan żadnego zespołu nie postępuje tak, że wybiera sobie terminy, kiedy jest do dyspozycji trenera, a kiedy odpoczywa. Nie wspominając o największych graczach obecnej ery – z Cristiano Ronaldo, Leo Messim i Luką Modriciem na czele – których, choć w komplecie są starsi od naszego RL9 – zmęczenie nigdy nie dopada przed spotkaniami reprezentacji.

Decydując się zatem na urlop na początku czerwca, „Lewy” z automatu wypisał się z najważniejszej roli kapitana. Mógł i powinien przewidzieć, że takie będą konsekwencje tej niespodziewanej urazowej absencji. Okazał bowiem brak szacunku kolegom i trenerowi; własny interes postawił ponad dobrem zespołu, a stara to piłkarska prawda, że nie ma człowieka ważniejszego od drużyny. Gdy naszyły Roberta wątpliwości, że nie da rady z maksymalnym zaangażowaniem grać w reprezentacji na każde zawołanie, powinien był – z własnej inicjatywy – przekazać opaskę. Tego jednak nie zrobił; także dlatego, że w jego otoczeniu nie znalazł się nikt, kto byłby w stanie podpowiedzieć ten jedyny w zaskakujących okolicznościach sensowny krok.

Selekcjoner miał obowiązek odebrać opaskę!

Probierz – chcąc zachować twarz i powagę drużyny narodowej – w zasadzie nie miał wyboru; musiał dokonać zmiany

kapitana. Problem w tym, że nie zachował klasy, nie stać było trenera na szczerą rozmowę w cztery oczy. Zamiast umówić się z napastnikiem Barcelony już po meczu w Helsinkach w miejscu jego pobytu, zabukować bilety lotnicze do Hiszpanii i na miejscu przy kawie przedyskutować ten trudny dla obydwu stron problem, zdecydował się na rozwiązanie siłowe. Pozbawione nie tylko wyczucia, ale także braku szacunku dla dokonania Roberta w reprezentacji. Chodzi przecież nie tylko o kapitana z niemal 11-letnim stażem, ale też i rekordzistę Polski w liczbie występów w piłkarskiej reprezentacji, najlepszego strzelcę wszech czasów w naszej kadrze, i w ogóle najlepszego polskiego futbolistę wszech czasów. A na domiar złego – zapewne powodowany niezdrowymi emocjami – szkoleniowiec wybrał termin najgorszy z możliwych na takie rozliczenie: 48 godzin przed spotkaniem z Finlandią, być może najważniejszym w kwalifikacjach mundialu w kontekście walki o miejsce barażowe, które przypadnie drugiemu zespołowi w grupie...

W odpowiedzi, Lewandowski z miejsca pogniwał się i oświadczył – pisemnie w mediach społecznościowych – że u tego selekcjonera już nie zagra. Zatem także nie zgryztał zimną krwią, choć gość z doświadczeniem i piłkarskim obyczajem Roberta i jego dojrzałością życiową wynikającą chociażby z PESELU – w sierpniu skończy 37 lat – nie powinien zachowywać się jak rozkapryszone dziecko. Zwłaszcza gdy idzie o dobro narodowe, za jakie uznawana jest piłkarska reprezentacja Polski.

Kibice zatęsknili za klasą Kubę Błaszczykowskiego

Przekazanie opaski nigdy nie jest operacją łatwą i bezproblemową. Doskonale pamiętamy



Ostatecznie – nieoczekiwanie – w czwartkowy rano Michał Probierz podał się do dymisji. Ale to nie kończy tej afery

jeszcze przecież żal Kubie Błaszczykowskiego, kiedy jego spotkała ta przykrość w 2014 roku, a kapitanem został Lewandowski. Nasz skrzydłowy, który nawet ze złamaną nogą przylatywał na zgrupowania, bardzo długo nie mógł pogodzić się z decyzją – zakomunikowaną przez Adama Nawałkę, ale której autorstwo przypisywał ówczesnemu prezesowi PZPN, Zbigniewowi Bońkowi – reprezentacja była jednak dla niego tak wielką wartością, że ego schował do kieszeni. I grał nadal w kadrze, już nie jako kapitan. Na dodatek grał najlepiej ze wszystkich, bo występ na Euro 2016 stanowił apo-

geum Kubę w drużynie narodowej.

Lewandowskiemu bez wątpienia zabrakło tej klasy Kubę, ale też po ludzku – biorąc pod uwagę zasługi Roberta i liczby w kadrze – nie zasłużył na pożegnanie z reprezentacją w okolicznościach zaproponowanych przez Probierza. 158 meczów w biało-czerwonych barwach i 85 goli ma tak wielką wymowę, że pożegnanie RL9 – zarówno z opaską, jak i kadrą – powinno być szczególne.

Tyle że temat pożegnania w ogóle nie powinien pojawić się w tym momencie. Lewandowski wciąż jest przecież na-

szym najlepszym napastnikiem, we wszystkich rozgrywkach w minionym sezonie przekroczył granicę 40 trafień, i generalnie klasą – sportową – nadal nie ustępuje żadnemu z reprezentantów. Zresztą, ile znaczy dla reprezentacji – nawet jeśli podczas selekcyjnej kadencji Probierza jego skuteczność w drużynie narodowej spadła (i to drastycznie), pokazując spotkania, w których... nie występuje. A prawda jest taka, że reprezentacja Polski bez „Lewego” nie radzi sobie w meczach o punkty. Bilans jest naprawdę kiepski. Na trzynaście takich spotkań, udało się wygrać zaledwie trzy,

a i to z przeciwnikami o niskiej renomie.

Fatalny bilans meczów bez Lewandowskiego

Bilans to siedem porażek, trzy zwycięstwa i trzy remisy. Polacy zwyciężali bez RL9 w składzie jedynie ze słabeuszami: San Marino, Bośnią i Hercegowiną oraz Wyspami Owczymi. Remisy udało się uzyskać z Portugalią, Holandią i Mołdawią, natomiast przegrane miały miejsce z Anglią, Węgrami, dwukrotnie z Holandią oraz z Portugalią i Szkocją. No i w miniony wtorek z Finlandią, notowaną przed meczem na 69. miejscu w rankingu FIFA (Polska była 34. w tym zestawieniu).

Lewandowski zadebiutował w reprezentacji 10 września 2008 roku w meczu z San Marino, zdobywając bramkę już osiem minut po wejściu na boisko. Jego pierwsza nieobecność w meczu o punkty miała miejsce we wrześniu 2013 roku, kiedy Polacy pokonali San Marino 5:1. Kolejne absencje miały miejsce w 2018 roku podczas meczu z Portugalią oraz w 2020 roku, gdy z powodu urlopu nie zagrał w meczach Ligi Narodów z Holandią i Bośnią.

Wiosną 2021 roku Robert doznał urazu, który wykluczył go z meczu z Anglią na Wembley. Polska drużyna, mimo ambitnej gry, przegrała 1:2. W listopadzie tego samego roku, podczas meczu z Węgrami, Lewandowski również nie zagrał, co wywołało kontrowersje i napięcia w drużynie. W czerwcu 2022 roku, podczas meczu z Holandią, selekcjoner Czesław Michniewicz postanowił dać odpocząć liderowi drużyny, co zakończyło się remisem 2:2.

W październiku 2023 roku, przygotowując się do eliminacji Euro 2024, Lewandowski doznał kolejnego urazu. Polacy wygrali z Wyspami Owczymi, ale przegrali z Mołdawią, co skomplikowało ich sytuację w grupie. Wy-

FOT. SYLWIA DĄBROWA



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Kadra bez Roberta Lewandowskiego gra słabiej. Bilans to siedem porażek, trzy zwycięstwa i trzy remisy. Wygrane wyłącznie ze słabeuszami

stęp na Euro 2024 rozpoczęli bez kapitana, przegrywając z Holandią 1:2. Kolejne kontuzje wykluczyły Lewandowskiego z ważnych meczów, co wpłynęło na wyniki drużyny w Lidze Narodów. I w konsekwencji na pierwszy w historii - spadek z Dywizji A (po porażce ze Szkotcją 1:2 na Stadionie Narodowym w Warszawie) tych dynamicznie rozwijających się pod egidą UEFA rozgrywek.

Z Finlandią w miniony wtorek Biało-Czerwoni - mimo absencji napastnika Barcelony - zaczęli mecz od klarownych sytuacji, ale już w początkowych minutach zmarnowali dwie bramkowe okazje. Czym mocno podenerwowali polskich kibiców, którzy już w 14. minucie rywalizacji w Helsinkach zaczęli skandować brakujące w naszym składzie nazwisko.

- Robert Lewandowski! - niosło się z wypełnionego sektora gości na Stadionie Olimpijskim. Fani polskiego zespołu dali tym samym jasno do zrozumienia trenerowi Probiezowi, co sądzą o odebraniu opaski kapitana legendzie tej reprezentacji.

Mało tego, wcześniej wygwizdali i wybucheli selekcjonera, gdy spiker wyczytał jego nazwisko przy podawaniu składu i sztabu naszej kadry.

Konflikt selekcjonera z kapitanem to porażka PZPN

- To bardzo dziwna sytuacja, że w takim momencie dochodzi do takich decyzji. Dla mnie to niezrozumiałe. I bardzo słabe, jeśli chodzi o profesjonalizm, wycucie i tempo. Można to określić tylko dwoma słowami: piaskownica i dziecinada - ocenił spieć na linii Probiez - Le-

wandowski w rozmowie z serwisem Gol24 Jerzy Dudek, nasz były reprezentacyjny bramkarz, triumfator Ligi Mistrzów z Liverpooliem, jeszcze przed meczem z Finami. - Nie jestem ani za Lewandowskim, ani za Probiezem - dla mnie liczy się wyłącznie Polska. Ktoś powinien zawsze mieć na uwadze dobro reprezentacji. Mam nadzieję, że prezes Kulesza wiedział o decyzji trenera Probieza, bo wizerunkowo to mocno uderzyło w PZPN. To duża porażka związku, bo dzień przed meczem zamiast skupić się na futbolu, wszyscy mówili o konflikcie. Jeśli jednak nie wiedział, świadczyłoby to po prostu o braku komunikacji, a przecież mówimy o trzech najważniejszych postaciach w polskiej piłce: prezesie Kuleszy, trenerze Probiezu i Robertcie Lewandowskim, naszym najlepszym piłkarzu. Skoro dziś mamy otwarty konflikt, to znaczy, że coś zostało źle zarządzane. To wszystko jest też echem decyzji Lewandowskiego o rezygnacji z czerwcowego zgrupowania i potrzebie odpoczynku. Robert też nie wytrzymał ciśnienia. Myślę, że po tylu latach gry mógł zareagować inaczej, przecież to jest zawodnik, który na boisku wytrzymuje ciśnienie przy okazji największych imprez piłkarskich.

W spotkaniu z Finlandią nazwisko Lewandowskiego było skandowane jeszcze nie raz, bo nasz zespół zagrał tak jak zwykle ostatnio. To znaczy tylko w początkowej fazie przyzwyczajenia i konstruktywnie - choć nieskutecznie - a później bez pomysłu, bez przynoszących zyski stałych fragmentów, bez koncentracji. Słowem: kiepsko, jak zawsze

w tym roku. Z tą różnicą, że tym razem łydki drżały nie tylko napastnikom, bo nie popisał się także golkeeper. Mentalnie nasz zespół nie był gotowy po awanturze wywołanej przez Probieza do podjęcia rywalizacji nawet z topowym zespołem fińskim. Co skończyło się stratą punktów (porażka 1:2), pozycji lidera w grupie eliminacyjnej oraz marginesu na kolejne potknięcie.

To samobój i strzał w stopę

Wyszło zresztą na to, że Biało-Czerwoni przegrali tę rywalizację już 48 godzin przed pierwszym gwizdkiem, gdy trener Probiez zdecydował się na wydanie bezsensownej polsko-polskiej wojny (byłemu - kapitanowi Lewandowskiemu, o której z góry było wiadomo, że nie jest jej w stanie wygrać. Późniejszy chaos na boisku, brak skuteczności, gapiostwo Łukasza Skorupskiego w polu karnym, które najmocniej odbiło się na niekorzystnym wyniku i fatalne zachowanie obrońców przy stracie drugiego gola dla gospodarzy - to wszystko było konsekwencją spirali niezdrowych i zupełnie niepotrzebnych emocji nakręconych przez selekcjonera w niedzielny wieczór.

- Nie analizuję, kto w tym przypadku ma rację i jaka jest tego przyczyna. Dla mnie ta cała sytuacja, te przepychanki medialne, to dziecinada i gówniareria, które nigdy nie powinny mieć miejsca. Pewne rzeczy nie mogą wyjść poza szatnię, czy też gabinety prezesów. Chyba nasi futbolowi decydenci za bardzo zapatrzili się w polityków, którzy zamiast rozmawiać i wyjaśniać sobie sporne kwestie, atakują się w mediach. Sami strzeli-

liśmy sobie w stopę - ocenił w rozmowie z PAP były piłkarz Górnik Zabrze, Piotr Rzepka. - To przecież nie wydarzyło się w ciągu pięciu minut. Tylko dojrzało od bardzo dawna, sytuacja musiała być niezwykle napięta, aż wreszcie układy nerwowe nie wytrzymały i eksplodowały. W dodatku w wyjątkowo złym momencie, chociaż z drugiej strony dla takich bardzo przykrych wydarzeń nie ma dobrych momentów. Powtarzam - do czegoś takiego nie wolno było dopuścić. To absolutnie nie powinno się wydarzyć, bo trzeba się szanować. To bardzo przykre, że nasze środowisko samo strzela sobie w stopę i pakuje takie samobójce. Są metody wstrząsowe i czasami trzeba je stosować, ale to jest podcinanie gałęzi, na której się siedzi. Naruszono powagę reprezentacji, która dla mnie zawsze była bardzo ważna. Po wiem więcej - to działanie na niekorzyść kraju, bo piłka nożna to już sprawa narodowa. Jest wiodącym tematem, porzywa tłumy i wywołuje ogromne emocje. Na pewnie rzecy pracuje się latami, a jednym głupim ruchem ten wysiłek można zniweczyć i wszystko rozpieprzyć...

Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie?

Niestety, Probiez nieprzeżył - podjętą pod wpływem jakiegoś niezdrowego impulsu - decyzją, upublicznią w najgorszym z możliwych momentów, tuż przed najważniejszym meczem półroczna, zachował się zgodnie ze słowami dawnego szlagieru, napisanymi przez Wojciecha Młynarskiego: „Co by tu jesz-

cze spieprzyć, panowie?”. Najwyraźniej zakładał, że odbierając opaskę Lewandowskiemu nawet w okolicznościach urągających dobremu smakowi, z pominięciem niewątpliwych zasług Roberta dla kadry, nie tylko wstrząśnie zespołem, ale sprawi, że na boisku w Helsinkach pozostali zawodnicy, z nowo namaszczonego kapitanem Piotrem Zielińskim, będą za takiego trenera z jajami „umierać”. Tymczasem okazało się, że nie tylko nie „umierali”, ale - jeśli nie zagrali przeciw niemu, to z całą pewnością nie zagrali też dla niego. A kontuzjowany Zielu nie pojawił się nawet w meczowej kadrze, co dopełniło zarówno gorczy, jak i groteskowości tej sytuacji...

Po blamażu w Finlandii nikt nie mógł już mieć wątpliwości, iż Michał Probiez skończył się jako selekcjoner. Na odchodnym prezes Kulesza okrutnie zadrwił jeszcze zresztą z Probieza, okazało się bowiem, że oczekiwaną przez ogromną większość kibiców decyzję o dymisji selekcjonera odłożył na czas po rozmowie z... Lewandowskim. Czyli de facto to Robert - nie odbierając telefonu i nie wykazując zainteresowania kompromisem z trenerem - wpłynął na zakończenie jego kadencji w kadrze. Ostatecznie ogłoszono, że to selekcjoner podał się do dymisji, ale z PZPN napływały sygnały, że sponsorzy nie wyobrażali sobie innego finału niż wypowiedzenie się prezesa Kuleszy po stronie napastnika.

Niezależnie bowiem od stylu modowego, za który ceniony jest w pewnych kręgach selekcjoner, wartość mar-

ketingowa marki RL9 w dalszym ciągu jest nieporównywalnie wyższa. I nadal to gracz Barcelony w bardzo znacznym procencie stanowi o tym, jak łakomym kąskiem dla reklamodawców jest piłkarska kadra narodowa. A to oznaczało, że Kulesza tak naprawdę nie miał wyboru. Natomiast próba ogłoszenia - już po powrocie z Helsinek - mediacji, była tylko grą na czas, niezbędny do wypracowania komunikacyjnej strategii. Aby nikt nie uznał, iż dymisja nastąpiła na skutek publicznej presji...

RL9 także z wizerunkową stratą

Inna sprawa, że był to teleturniej bez wygranych; a wśród przegranych jest także Lewandowski, który na dodatek w środku mijającego tygodnia był narażony na nieprzyjemne, wielogodzinne konfrontacje w sądzie z byłym menedżerem Cezarym Kucharskim, w trwającym od lat sporze, w którym stawką są nie tylko niebagatelne - sięgające 20 milionów euro - pieniądze, ale i reputacja obydwu byłych partnerów biznesowych.

Robert miał być przecież bardzo przemęczony ligowym sezonem, co stało się powodem nieobecności na czerwcowym zgrupowaniu i zarzewnem całej „afery opaskowej”, ale ostatecznie przyleciał na mołdawski benefis „Grosika” do Chorzowa. I nawet skradł show Kamilowi, brylując w TV. Jego wyjaśnienia dotyczące zaistniałej sytuacji były jednak tak karkołomne, że w zasadzie nikt nie uwierzył, że chciał sprawić niespodziankę Grosickiemu. Próba wyjścia z wizerunkowej opresji jeszcze tylko pogрузzyła ustępującego kapitana, który nie potrafił zachować się jak na posiadacza opaski przystało...

Prawda jest zresztą taka, że nasz najlepszy w historii piłkarz nigdy nie przejawiał zdolności przywódczych. Nigdy nie był typem lidera z prawdziwego zdarzenia, który byłby w stanie zainspirować i pociągnąć cały zespół. Zwłaszcza poza boiskiem. Zawsze był genialnym egzekutorem, którego jedną z najważniejszych cech zwyczajnie musi być egoizm. I „Lewy”, wykorzystując fenomenalne umiejętności i strzelecką intuicję, przez lata grał po prostu pod siebie. Na czym korzystał oczywiście cały zespół narodowy. I nadal może korzystać, tyle że logika - i zwykła ludzka przyzwoitość - wskazuje, że już z innym kapitanem.

Trudno bowiem oczekiwać - mimo apelu Jana Bednarka w Helsinkach - pełnego resetu w kadrze; to znaczy do stanu sprzed czerwcowego zgrupowania. Niektórych, kluczowych, ustawień w tym mechanizmie po prostu nie da się już przywrócić. Pewne sprawy zaszyły już zwyciężajnie za daleko...

KINGA GRUSZECKA: MAM NADZIEJĘ, ŻE POLSKA BĘDZIE POTRAFIŁA SKUTECZNIE WYKORZYSTYWAĆ KOSMOS

– Kosmos nas ratuje na co dzień, tu, na Ziemi: mamy buty na rzepy, liofilizowaną żywność, filtry do wody, gąbki przeciwodrożynowe, sztuczne serce, pompy insulinowe, a nawet technologię zapisu danych wykorzystaną przy cyfryzacji zbiorów Muzeum Watykańskiego – mówi Kinga Gruszecka z CGI, ekspertka sektora kosmicznego

Anita Czupełny

Zacznijmy od marzeń - czy lot w kosmos Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego to, pani zdaniem, spełnienie ludzkiego marzenia o eksploracji wszechświata?

Loty kosmiczne zawsze były i pozostają spełnieniem ludzkich marzeń. Zauważyłam też coś bardzo poruszającego: wiele osób pisze w mediach społecznościowych, że widok kombinezonu astronauty z naszym flagą napawa ich ogromną dumą. To niesamowite i prawdziwe, bo w gruncie rzeczy każdy z nas miał swoją małą część w tej misji. Kosmos wymaga inwestycji publicznych, ale każda misja to także eksperymenty, które przyczyniają się do lepszego zrozumienia naszego miejsca w badaniach naukowych oraz tego, czego jeszcze potrzebujemy. I nie chodzi wyłącznie o załogowe loty czy eksplorację prowadzoną przez człowieka. Liczy się rozwój robotyki, medycyny, biologii, inżynierii materiałowej i wielu innych dziedzin, które napędzają postęp i innowacje.

Gdyby miała Pani wytłumaczyć przeciętnemu człowiekowi, po co Polska inwestuje w kosmos, mówiąc wprost: po co nam kosmos i co możemy z niego mieć?

Zacznę od pytania: po co Polak w kosmosie? Po to, żeby Polska mogła uczestniczyć w ambitnych badaniach realizowanych na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, a także po to, by polscy inżynierowie mogli brać udział w projektach z zakresu robotyki kosmicznej. To są naczynia połączone; dzięki misji IGNIS stajemy się częścią większej rodziny i możemy ubiegać się o udział w złożonych, zaawansowanych projektach kosmicznych. Ale nie tylko. Misja

to także eksperymenty naukowe oraz działania edukacyjne, które mają ogromne znaczenie. Ten lot jest nam potrzebny chociażby po to, by inspirować młodsze pokolenia do zainteresowania się tematami związanymi z kosmosem, z matematyką, inżynierią, generalnie naukami ścisłymi. Ogólnie mówiąc, chodzi o inspirowanie ludzi w każdym wieku do zadawania pytań, do odkrywania, do szukania rozwiązań, które mogą usprawnić nasze życie tu, na Ziemi. Technologie testowane na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej mogą mieć bardzo praktyczne zastosowania, choćby w farmacji, inżynierii materiałowej czy w rozwoju interakcji człowiek-maszyna. W ramach misji mamy 13 naprawdę ambitnych eksperymentów. Pomogą nam lepiej zrozumieć sam lot kosmiczny i mogą przynieść bardzo konkretne odpowiedzi dotyczące ulepszenia życia na naszej planecie.

Mówi Pani o trzynastu zaplanowanych eksperymentach, które ma przeprowadzić Sławosław Uznański?

Tak. Większość z nich skupia się może nie tyle na przysługach lotów załogowych, co na pogłębianiu stanu badań dotyczących samego lotu człowieka w kosmos. To jest w ogóle trochę specyfika misji kosmicznych; kiedy je rozpoczynamy, nie zawsze wiemy, jakie dobre rzeczy z nich jeszcze wynikną. Na przykład: kiedy ruszał program Apollo i zaczynało pierwsze loty, jednym z efektów ubocznych było udoskonalenie procesu liofilizacji żywności. Dzisiaj jedzenie, które zabieramy na wyprawy górskie czy w podróże, to po części rezultat tamtych badań. Ja teraz jestem mamą

dwulatka i naprawdę nie wyobrażam sobie poranka bez butów na rzepy, a to także jest pochodną rozwoju technologii kosmicznych. Nie sądzę, żeby inżynierowie, którzy nad tym pracowali, mieli świadomość, że ich rozwiązania aż tak wpłyną na codzienne życie. Dlatego kiedy mówimy, na przykład, o zdrowiu psychicznym astronautów – a taki eksperyment także będzie realizowany, i zdaje się, że nawet z misją porównawczą w analogowym habitatcie Lunares (to ośrodek badawczy, miejsce, które naśladuje warunki panujące na Księżycu, Marsie czy na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej - red.), to warto wiedzieć, że astronauta byli też proszeni o wskazówki, jak radzić sobie ze stresem izolacji podczas pandemii. Będzie też eksperyment dotyczący glonów i badania, czy mogą wytwarzać tlen dla przyszłych kolonii kosmicznych. Ale to nie wszystko. Dzięki połączeniu różnych sektorów i lepszemu zrozumieniu procesów możemy te badania wykorzystać również w trudno dostępnych miejscach czy tam, gdzie pojawia się kryzys klimatyczny. Wszystko później będzie zależało od nas i mam nadzieję od tego, kogo ta misja zainspirowuje do dalszych badań. To wcale nie muszą być badania kosmiczne. Piękno kosmosu dla mnie na tym właśnie polega, że pomaga rozwiązywać

nasze codzienne problemy tu, na Ziemi. Kosmos nas ratuje.

Który z eksperymentów zaplanowanych w ramach misji Sławosza Uznańskiego jest dla pani szczególnie ciekawy lub ważny, na wyniki którego pani czeka?

To nie jest łatwe pytanie, bo pracując wcześniej w Polskiej Agencji Kosmicznej, miałam przyjemność bliżej poznać cztery z tych eksperymentów; byłam ich punktem kontaktowym. Teraz, podczas pracy w firmie CGI, każdy z tych eksperymentów jest mi w jakiś sposób bliski, bo to właśnie dzięki naszym rozwiązaniom naukowcy, a dokładnie tzn. Primary Investigators, mogą monitorować swoje eksperymenty i otrzymywać dane o ich postępach. Bardzo podoba mi się eksperyment Stability-of-Drugs, może też dlatego, że moja siostra zajmuje się inżynierią materiałową, a właśnie tego dotyczy to badanie. Mam nadzieję, że pomoże nam ono wydłużyć trwałość leków tu, na Ziemi. Myślę, że nie leży to w naszym interesie, żeby wyrzucać tony leków, więc mogłoby to przynieść realne oszczędności. Mam też duże emocjonalne przywiązanie do LeopardISS, ponieważ pracowali nad nim członkowie Stowarzyszenia Polskich Profesjonalistów Sektora Kosmicznego, którzy są też pracownikami KP Labs i Politechniki Po-

znańskiej i znam te osoby. Z podobnych powodów bliski jest mi Space Volcanic Algae, bo znam kobiety, które ten eksperyment wymyśliły, bardzo ciężko nad nim pracowały i naprawdę nim żyją. A Photon-Grav to projekt ludzi z Lublina, skąd pochodzę, więc też mam osobisty stosunek. Mam taką nadzieję, że każdy z nas, każda Polka i każdy Polak zajrzy na stronę plinspace.pl, na stronę Polskiej Agencji Kosmicznej albo na profil Ministerstwa Rozwoju i Technologii i sprawdzi, jakie eksperymenty są realizowane. I znajdzie coś dla siebie, czy to dlatego, że naukowcy są z tego samego miasta, czy dlatego, że bliskie nam są tematy zdrowia psychicznego, środowiska, technologii.

Co z technologii kosmicznych już dziś mamy w domu i korzystamy z tego, nawet o tym nie wiedząc?

Zacznę od historii CGI: Protokół komunikacyjny, który został wykorzystany w Centrum Kontroli Modułu Columbus czyli europejskiego laboratorium na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, został opracowany właśnie przez CGI ponad 20 lat temu. Od tamtej pory znalazł zastosowanie w wielu różnych rozwiązaniach, także komercyjnych, np. w telewizji satelitarnej. Inżynierowie CGI po prostu rozwiązywali konkretny problem; potrzeba była po stronie segmentu naziemnego obsługującego ISS. Nie sądzę, żeby przewidywali, dokąd ta innowacja ich zaprowadzi. W naszym Stowarzyszeniu kilka lat temu realizowaliśmy projekt „Czy wiesz, że inwestycje w kosmos są potrzebne?”, w którym pokazywaliśmy przykłady zastosowań technologii rozwijanych z myślą o misjach kosmicznych, nie tylko

tych na ISS. Znaleźliśmy m.in. przykład cyfryzacji Muzeum Watykańskiego. Sposób zapisu plików, bardzo oszczędny pod względem przestrzeni i energii, został opracowany na potrzeby zapisu danych z obserwacji Ziemi, a potem zaadaptowany do digitalizacji zbiorów muzealnych. Inny przykład: sztuczne serce. Metodologia wykorzystywana przy konstruowaniu satelitów komunikacyjnych została potem użyta do zbudowania sztucznego serca we Francji. Są też zastosowania w pompach insulinowych; zdaje się, że pochodzą one od badań prowadzonych w ramach misji Mars Viking. Wiele badań dotyczy analizy danych: umiejętność przetwarzania ogromnych zbiorów danych z kosmosu jest potem wykorzystywana w medycynie. Był też przypadek odkrycia bakterii; dzięki dokładnemu monitorowaniu zdrowia astronautów. Bakteria ta pomaga obniżyć poziom cholesterolu. To naprawdę ogromny wachlarz zastosowań. Buty na rzepy, naczynia Tefal, filtry do wody, gąbki przeciwodrożynowe z pamięcią kształtu, to wszystko są efekty uboczne inwestycji w kosmos. W tym także lotów człowieka.

A jeśli chodzi o dziedziny życia już dziś, albo za kilka lat, to co może się gwałtownie zmienić właśnie dzięki technologiom kosmicznym?

Dziękuję za to pytanie. Właśnie wróciłam z konferencji Perspektywy Women in Tech Summit, gdzie z jednej strony mówi się o technologiach kwantowych, a z drugiej ogromny nacisk kładzie się na troskę o środowisko. Mam poczucie, że technologie kosmiczne będą coraz częściej wykorzystywane właśnie

*O ILE O POLSKICH INŻYNIERÓW
I AMBITNYCH LUDZI Z PRZEMYSŁU
SIĘ NIE MARTWIĘ, TO W ZAKRESIE
POLITYKI KOSMICZNEJ MAMY
JESZCZE DUŻO DO ZROBIENIA*



FOT. AXIOM SPACE/MATPRAS.

Kinga Gruszecka: Wiele osób pisze w mediach społecznościowych, że widok kombinezonu astronauty z naszywką z polską flagą napawa ich ogromną dumą. To niesamowite i prawdziwe, bo w gruncie rzeczy każdy z nas miał swoją małą cząstkę w tej misji

w zrozumieniu i adaptacji do zmian klimatycznych. Możemy tu podać wiele przykładów, choćby badania nad wzrostem roślin na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, które pomagają nam zrozumieć, jak rośliny reagują w ekstremalnych warunkach, jak można je dostosować do takich warunków. Ale też dane satelitarne, zarówno te dotyczące pozycjonowania, jak i obrazowania mogą być użyteczne w planowaniu miast tak, by były bardziej przyjazne ludziom. Chodzi np. o unikanie tzw. miejskich wysp ciepła. Tego typu analizami zajmuje się również moja firma, CGI. Satelity już są na orbicie; mamy dostęp do danych, które możemy wykorzystywać do dbania o infrastrukturę w sposób ekonomiczny, ale też ekologiczny. Możemy monitorować, jak rozwija się rolnictwo, analizować dane statystyczne, ale też lepiej projektować rozwój miast. Mam nawet taki konkretny przykład: w Muzeum Woli w Warszawie była wystawa dotycząca zmian klimatycznych. Jedną z informacji na niej podanych dotyczyła tragicznego przypadku listonosza, który zmarł z wycieńczenia, bo fala upałów była tak silna. Gdybyśmy wcześniej spojrzeli z orbity na to, jak wygląda struktura miasta, jak można ją zaplanować zgodnie z wiedzą urbanistyczną i klimatyczną, być może udałoby się uniknąć takich sytuacji. Dla tego wierzę, że to właśnie planowanie przestrzenne miast, zmiany klimatyczne to te obszary, w których z roku na rok będziemy widzieć coraz więcej kosmosu.

Co właściwie Polska chce robić w kosmosie? Gdzie są nasze mocne strony, co już potrafimy?

Przez lata zdobywaliśmy doświadczenie w Europejskiej Agencji Kosmicznej, budując nasze kompetencje technologiczne i realizując własne ambicje. Dokończaliśmy się, bo realizacja zamówień dla ESA prócz tworzenia technologii, to również dostosowywanie się do bardzo konkretnych standardów inżynierskich. Dziś potrafimy budować podsystemy i komponenty, a naszą ambicją jest przejście do projektowania i realizacji całych, złożonych systemów. Polska ma mocne strony w elektronice, w systemach napędowych, w rozwiązaniach związanych z automatyką i mechanizmami. Teraz czas na kolejny krok, na ambitniejsze projekty i silniejszą pozycję w europejskim sektorze kosmicznym. Brakuje nam jeszcze jednej rzeczy: niezależności w dostępie do danych satelitarnych, przede wszystkim danych obrazowych. Niestety, nie mamy wciąż krajowego programu kosmicznego, który jasno określałby nasze cele. Nasza strategia kosmiczna jest bardzo ogólna, a co gorsza, inne strategie, takie jak strategia cyfryzacji, nie są z nią w żaden sposób zintegrowane. Mówi się w nich o rozwiązaniach, które wymagają zaplecza kosmicznego, ale nie ma tam ani słowa o Europejskiej Agencji Kosmicznej jako potencjalnym narzędziu do ich realizacji. O ile więc o polskich inżynierów i ambitnych ludzi z przemysłu się nie martwię, to w zakresie poli-

tyki kosmicznej mamy jeszcze dużo do zrobienia i sporo do nauki.

Co z programami takimi jak PIAST czy Mikrosatelity? Rozwijamy własne satelity i to chyba duży krok?

To są działania ostatnich kilku miesięcy. Rozumiem je jako efekt wieloletniej pracy, w której firmy konsekwentnie podnosiły poziom technologiczny, realizowały kolejne projekty i budowały swoją wiarygodność. To, że doszły do stworzenia własnych platform, optyki czy radarów, to naprawdę ogromny wysiłek; wieloletnie udowadnianie klientowi końcowemu, że są gotowe. Jednocześnie wcześniej te zamówienia i decyzje inwestycyjne były często podejmowane z zagranicą. Brakowało koordynacji i jasnych sygnałów od strony krajowego klienta wobec polskich podmiotów. Świetnie, że to się zmienia. Fenomenalne jest to, że czy to poprzez ESA, mam tu na myśli projekt Camila, czy przez dedykowane kontrakty takie jak MicroGLOB czy MicroSAR, to coś realnie się dzieje. I mamy nadzieję, że to dopiero początek.

Kosmos może stać się polską specjalnością? Dziś mówi się o polskich grach komputerowych, to może niedługo będziemy mówić o polskim kosmosie?

Dobre pytanie! Ale szczerze mówiąc, ja mam przede wszystkim nadzieję, że Polska będzie potrafiła skutecznie wykorzystywać kosmos. Nie wiem, czy stanie się naszą narodową specjalnością, ale bardzo chciałabym, żebyśmy jako

przemysł, jako nauka, mogli realizować się w ambitnych projektach, pokazywać światu, że mamy niesamowite pomysły, wyjątkowe talenty i że jesteśmy gotowi, choćby i na Księżyc czy Marsa. Moja nadzieja koncentruje się jednak wokół czegoś innego: że kosmos będzie pomagał nam tutaj, na Ziemi. Że wszystkie te duże, medialne projekty i zamówienia skłonią firmy, które mają działy R&D, do zadania sobie pytań: „Jak mogę usprawnić mój produkt dzięki technologiom kosmicznym?”, „Jak mogę ulepszyć procesy w mojej firmie, czerpiąc z doświadczeń sektora kosmicznego?” I to są te tematy, które są mi bliskie i które rozwijam właśnie w CGI.

Czy w takim razie Polska jest już gotowa, albo blisko, żeby samodzielnie wyprodukować rakietę kosmiczną?

To zależy, co masz na myśli, mówiąc „rakietę kosmiczną”. Bo raketę, która przekroczyła granicę kosmosu, już zbudowaliśmy. Zrobił to Instytut Lotnictwa, wchodzący w skład Sieci Badawczej Łukasiewicz. W zeszłym roku wystrzelono raketę badawczą, która osiągnęła pułap ponad 100 kilometrów i umożliwiła prowadzenie badań w warunkach mikrogravitacji. To już się wydarzyło. Ogromny sukces, efekt wielu lat pracy, determinacji, wiary w sens tego kierunku, ale też współpracy z Europejską Agencją Kosmiczną, m.in. w zakresie systemów napędowych. I właśnie te systemy stały się swego rodzaju specjalnością Instytutu Lotnictwa. Mam też nadzieję, że wkrótce

zobaczymy zupełnie inną raketę – taką, która będzie w stanie wynieść w kosmos ładunek. Taki projekt prowadzi firma SpaceForest. To się dzieje tu i teraz i choć to inna skala, to nadal mówimy o rakiecie kosmicznej. Pytanie, czy powinniśmy mieć własny kosmodrom – tu może być trudniej, bo geografia nam nie sprzyja. Starty z naszej szerokości geograficznej są bardzo kosztowne. Kosmos uczy pokory, ale też współpracy, często trzeba łączyć siły, by coś zrobić lepiej, taniej i bardziej odpowiedzialnie. I to też jest piękno sektora kosmicznego.

Wracając do Sławosza Uznańskiego, to wiemy już z medialnych przekazów, że nie opuści Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Trochę szkoda. Ale co to właściwie znaczy i czy w przyszłości polscy astronauta będą mogli wychodzić w otwartą przestrzeń kosmiczną?

Z tego, co wiem, wyjście w przestrzeń kosmiczną jest możliwe tylko dla astronautów, którzy przeszli pełny, wieloletni program szkoleniowy. Sławosze Uznański był astronautą rezerwowym, obecnie jest astronautą projektowym, realizującym misję IGNIIS. Wydaje mi się, choć nie chcę nikogo wprowadzać w błąd, że nie miał pełnego przeszkolenia, które trwa kilka lat i obejmuje także procedury związane z tzw. EVA, czyli extravehicular activity. Wyjście poza pokład ISS wymaga specjalistycznego przygotowania, od testowania kombinezonu, przez zapewnienie systemów podtrzymywania życia, aż

po planowanie zadań technicznych. Takie spacery są planowane z dużym wyprzedzeniem i zawsze mają bardzo konkretny cel: naprawy, konserwacje, rozbudowę stacji. To nigdy nie jest spacer dla doświadczenia. Kiedyś usłyszałam też, że wcale nie każdy astronauta chce wychodzić w przestrzeń kosmiczną, bo to nie jest bezpieczne środowisko. Nawet przy najbardziej zaawansowanym kombinezonie stacja jest regularnie uderzana przez mikrometeoroidy i kosmiczne śmieci, które poruszają się z olbrzymią prędkością. Astronauci są narażeni na uderzenia przez cząstki, których nie da się przewidzieć ani uniknąć. Od początku było wiadomo, że Sławosze nie będzie brał udziału w tzw. spacerze kosmicznym. Choć sama nazwa jest trochę myląca, bo to nie spacer, tylko kilkugodzinna praca fizyczna, często w bardzo niewygodnych warunkach. To także przebywanie przez długi czas w kombinezonie i, mówiąc całkiem dosłownie, w pieluszcze, bo nie ma możliwości zejścia do toalety. Czy przyszły polski astronauta, może nawet Sławosze, w kolejnej misji dostanie taką szansę? Trudno powiedzieć. Ale czy to coś zmienia? Wydaje mi się, że już samo to, że mamy Polaka na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, to ogromne osiągnięcie. Sławosze będzie prowadził eksperymenty, łączył się ze szkołami, popularyzował konkursy organizowane przez Europejską Agencję Kosmiczną. Ma bardzo napięty grafik edukacyjny, techniczny i naukowy.

CV



FOT. MATPRAS.

Kinga Gruszecka

W CGI Polska odpowiada za projekty w sektorze kosmicznym. Prezeska Stowarzyszenia Polskich Profesjonalistów Sektora Kosmicznego (PSPA). W latach 2019-2021 pełniła obowiązki dyrektora departamentu edukacji w Polskiej Agencji Kosmicznej. W 2019 roku nagrodzona tytułem Nadzieja Polskiego Sektora Kosmicznego w konkursie „Konstelacje”. Laureatka „TOP 100 Space & Aerospace Professionals to follow on LinkedIn” w 2023 r.

Panie Dyrektorze, jak się pan czuje, gdy co roku w okolicach czerwca Opolu odżywa festiwa-lem polskiej piosenki? Gdy mia- sto tętni muzyką, a mieszkańcy i goście zaczynają żyć tym wy- darzeniem?

To nie jest i nigdy nie będzie co- dziennosc. To jest coś, co się czuje bardzo głęboko, szczegó- lnie gdy się jest stąd, z tego mia- sta. Ja Opolu wybrałem, tutaj studiowałem, bywałem w amfi- teatrze, zanim jeszcze przyszło mi do głowy, że kiedyś będę za- wodowo zajmował się historią tego festiwalu. Dziś, jako dyrektor Muzeum Polskiej Piosenki, mam dostęp do archiwów, do wspomnień, do dokumen- tów i relacji świadków. I to wszystko buduje we mnie świa- domość, jak ważnym zjawis- kiem kulturowym jest Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki. Ale w czerwcu, kiedy wychodzę na rynek i widzę, że to na- prawdę się dzieje - że to nie tylko historia, ale coś żywego - to wzruszenie wraca. Czasem w zupełnie niespodziewanym momencie.

Mówi się, że festiwal się zmienia i nie czuć już ducha dawnych lat.

I to prawda. Nie ma już tej otwartości, którą pamiętamy z lat 70. czy 80. - kiedy można było zobaczyć gwiazdę na dep- taku albo przy stoliku w ka- wiarni. Dziś większość arty- stów wpada tylko na chwilę - zagrać, odbyć próbę, wrócić do swoich obowiązków. Ale to nie znaczy, że klimat przepadł. W tym roku po raz kolejny or- ganizujemy „Kawiarenkę z Gwiazdami”, gdzie publicz- ność może spotkać artystów, zadać pytanie, zdobyć auto- graf. To nasz sposób, by przy- wrócić trochę tej bliskości. Ona jest bardzo potrzebna - szcze- gólnie dziś, kiedy wiele rzeczy dzieje się online, a my wszyscy trochę tęsknimy za realnym kontaktem.

Czyli wraca to, co było kiedyś? Taka atmosfera miejskiego święta, a nie tylko wydarzenia telewizyjnego?

Bardzo bym tego chciał. Bo fe- stiwal był kiedyś - i może być znowu - czymś więcej niż tylko transmisją. To było wydarzenie, które rozsiewało się po mieście. Koncerty odbywały się w róż- nych miejscach - nie tylko w amfiteatrze, ale i w auli WSP, w Teatrze Lalki i Aktora, nawet na Wyspie Bolko. To była prze- strzeń dla piosenki, ale też dla spotkań, rozmów, wieczornych spacerów, poczucia wspólnoty. Dziś koncentrujemy się na amfi- teatrze - i dobrze, bo to miejsce jest legendarne - ale staramy się przywrócić też te pozostałe ele- menty. Odświeżenie gwiazd, koncerty na rynku, spacery śla- dami festiwalu - to wszystko są działania, które mają znaczenie. I dodam jeszcze jedno: dla wielu mieszkańców Opolu to nie jest „impreza z telewizji”. To jest coś

TAKIEGO FESTIWALU W OPOLU JESZCZE NIE BYŁO!

Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu zaczyna się z przymiotem - już w czwartek, a nie jak zwykle w piątek. Będzie rap, będą debiuty w najlepszym czasie antenowym, wraca kabareton, a wśród gości... Garou. Za kulisami tych wszystkich zmian stoi Jarosław Wasik, dyrektor Muzeum Polskiej Piosenki i rzecznik KFPP.

Mateusz Majnusz

osobistego. Coś, co się pamięta z dzieciństwa, coś, co buduje lo- kalną tożsamość. Mam wraże- nie, że to poczucie się umacnia. Że ludzie coraz częściej mówią: „To nasz festiwal. Zrobmy wszystko, żeby był piękny”.

Tegoroczna edycja rozpoczyna się w czwartek, a nie - jak to by- wało - w piątek. Poca ta zmiana?

To zmiana bardzo przemyślana. Przez lata festiwal kończył się w poniedziałek, co było zwy- czajnie niewygodne - ludzie wracali do pracy, dzieci do szkoły, a tu jeszcze koncerty, transmisje, emocje. Przesunię- cie wszystkiego o dzień wcze- śniej, nadaje całoci nowy rytm. Zaczynamy już w czwartek - czyli, jak to się mówi, czwartku- nio, mały weekend! I od razu z przymiotem: Debiuty i koncert hip-hopowy. To nie tylko prak- tyczne, ale i symboliczne. Poka- zujemy, że festiwal się otwiera i nie boi się nowych form.

Od lat był pan orędownikiem, by festiwal w Opolu zaczynał się od Debiutów.

Tak, to bardzo przemyślana de- cyzja i cieszę się, że udało się ją zrealizować. Debiuty powinny być traktowane jako realna in- westycja w przyszłość polskiej piosenki. Od lat podkreślam, że młodzi artyści zasługują na pełnoprawną przestrzeń - nie symboliczny dodatek do fe- stiwalu, ale miejsce w jego cen- trum. W tym roku Debiuty otwierają festiwal w czwartek o godzinie 20:00, czyli w najlepszym moż- liwym czasie antenowym. To duża zmiana - jeszcze nie- dawno te koncerty były emi- towane późno w nocy, kiedy większość widzów już spała. Teraz dajemy młodym nie tylko scenę, ale też widownię.

Po debiutach - koncert hip- hopowy. Po 24 latach nieobec- ności. To brzmi niemal jak re- wolucja.

Hip-hop to dziś język pokolenia. Możemy go rozumieć bardziej lub mniej, ale nie zmienia to faktu, że 8 na 10 najpopularniej- szych utworów w Polsce to rap. Tego nie da się zignorować.



Jarosław Wasik, dyrektor Muzeum Polskiej Piosenki i rzecznik KFPP, zdobywca Lauru Debiutów w 1994 r.

A dlaczego w tym roku zabrakło poniedziałkowego kon- certu alternatywnego? Przecież to właśnie tam pokazywano ar- tystów, którzy dziś tworzą pol- ską scenę muzyczną.

Paradoksalnie - właśnie dla- tego. Artyści, którzy jeszcze kilka lat temu byli zapraszani jako przedstawiciele alterna- tywy, dziś są głównym nurtem. Zamilska, Ralf Kamiński, Król, Kortez - oni nie są już niszą. To topowi twórcy, obecni na naj- większych festiwalach, zapeł- niający sale koncertowe. Dawna „alternatywa” stała się nowym mainstreamem. I bardzo do- brze! To pokazuje, że festiwal miał nosa i potrafił wyłapywać talenty.

Z drugiej strony, scena alter- natywna była frekwen- cyjną porażką. Nawet bilety po 10 zł nie były wystarczającą motywacją dla publiczności, by w poniedziałek zapełnić amfiteatr.

Dlatego producenci postanowili poszukać nowych formatów dla prezentowania świeżych brzmień. Ale idea wspierania ar- tystycznych eksperymentów pozostaje. Być może wróci w in-

nej formie dopasowanej do od- biorcy w przyszłych latach.

Czy w tegorocznym składzie koncertów kogoś panu szcze- gólnie brakuje? Kogoś, kogo pan osobiście chciałby zoba- czyć, a z różnych powodów się nie pojawił?

Zawsze są takie nazwiska. W tym roku bardzo brakuje mi Maryli Rodowicz. To osoba ab- solutnie symboliczna dla Opolu. Występowała na tym fe- stiwalu ponad 45 razy - i co ważne, zawsze z nowym po- myśłem, czasem z humo- rem. Nie ma też Justyny Stecz- kowskiej, a przecież w tym roku wystąpiła podczas Eurowizji. Te braki oczywiście mają różne przyczyny - czasem są to decy- zje artystów, czasem względy organizacyjne czy budżetowe. Ale każdy z tych nieobecnych pozostawia pewną lukę. Z drugiej strony - nie sposób zaprosić wszystkich, poza tym trzeba dać miejsce nowym. Bo jeśli scena ma być żywa, to nie może się obracać tylko wokół tych samych nazwisk. Mamy wielu młodych wykonawców, którzy mają coś do powiedze- nia. I Opolu może być dla nich

Dziennik Bałtycki
Piątek, 13.06.2025

miejszem przełomowym - jak kiedyś było dla Anny Jantar czy Edyty Górniak.

Zaskoczeniem dla wielu była obecność Garou - artysty fran- cuskojęzycznego, znanego głównie z musicalu „Notre- Dame de Paris”. Jak to się stało, że artysta zagraniczny wystąpi na festiwalu polskiej piosenki?

To bardzo ciekawe pytanie. Bo rzeczywiście, w pierwszym odruchu można zapytać: „Ale jak to? To przecież festiwal pol- skiej piosenki!”. Ale my nie za- praszamy Garou jako przedsta- wiciela muzyki zagranicznej, tylko jako artystę, który w Pol- sce ma ogromną publiczność. On śpiewał z Edytą Górniak, miał tu wydane płyty, koncer- tował. Dla wielu Polaków to bardzo ważny głos, kojarzący się z konkretnym czasem i emocjami. Zresztą Garou nie pojawia się w Opolu po raz pierwszy - wy- stąpił już w 2016 roku i został bardzo dobrze przyjęty przez publiczność. To raczej symbol tego, że muzyka nie zna granic, jeśli trafia w serce. Garou jest wyjątkowy, charyzmatyczny, ma świetny kontakt z publicz- nością. Jego obecność nie osłabi polskości festiwalu - wręcz przeciwnie, może ją uwypuklić przez kontrast.

Po latach nieobecności wra- cają też Elektryczne Gitary. Ich ostatni występ w Opolu - w 2016 roku - był dość głośny. W tekście piosenki pojawiły się odniesienia do polityki PiS, które nie były wcześniej uzgodnione. Czy przez to tra- fili na „czarną listę”? I czy dziś coś się w tej kwestii zmieniło? Czy trafili na „czarną listę”? For- malnie - nikt nigdy nie powie- dział tego wprost. Ale fakty są takie, że potem długo ich w Opolu nie było. Ja myślę, że po prostu nie było klimatu, by ich zaprosić. Zresztą oni sami, jak i wielu innych artystów, za- pewne także nie chcieli być na festiwalu. Dziś - na szczęście - ten klimat się zmienia. Mamy więcej różnorodności, więcej odwagi, więcej dystansu. Arty- ści nie muszą się bać, że zostaną ocenzeni, jeśli powiedzą coś kontrowersyjnego. A Elektryczne Gitary? Cieszę się, że wracają. Bo to zespół z charakterem, z pomysłem, z tekstami, które mają znacze- nie. A przecież o to w piosence chodzi - żeby nie była tylko melodią do potupania nogą, ale żeby coś z sobą niosła. I opisywała rzeczywistość lub pokazywała ją w krzywym zwierciadle.

Kolejna powracająca tradycja to kabareton. Przez wiele lat go nie było. Teraz wraca - i to z rozmachem. Skąd ten po- myśł?
Kabareton ma swoją długą i ważną historię - nie tylko roz- rywkową, ale też społeczną.

W czasach PRL-u bardzo często był poddawany cenzurze.

Po 1989 roku kabareton zyskał wolność, ale też zaczął budzić różne emocje - bo każda wła- dza, niezależnie od opcji, śred- nio lubi, kiedy śmieje się z niej z dużej sceny. Dlatego tak ważne jest dla mnie, że w tym roku wraca w dobrej formie - poświęcony Stanisła- wowi Tymowi, ikonie polskiego kabaretu, i reżyserowany przez Beatę Harasimowicz, specja- listkę, która zna się na rzeczy. Ona przez lata tworzyła najlep- sze kabarety w telewizji publicz- nej, a później również w Polsa- cie i Wirtualnej Polsce. To bę- dzie kabareton z klasą - bez dowcipów o „chłopców przebra- nym za babę”, tylko z humo- rem, który zostaje w głowie.

A co z SuperJedynkami? Dla wielu widzów to symbol festi- walu, ale ich formuła uległa zmianie.

Tak, to prawda. SuperJedynki miały kiedyś charakter plebi- scytu - i to budziło emocje. Za- wsze była jakaś kontrowersja: czy wygrała osoba właściwa, czy głosowanie było uczciwe, snuto także domysły, czy wy- niki nie były ustawione. Teraz poszliśmy w stronę koncertu. To nie są już nagrody w kla- sycznym sensie - to bardziej uhonorowanie tych, którzy zrobili coś ważnego w muzyce rozrywkowej. I to działa. Cieszy mnie, że Su- perJedynki mają rockowy cha- rakter. W ubiegłym roku wystą- pił Proletariat - pierwszy raz w historii Opolu. To przecież ze- spół z ogromnym dorobkiem, ponad 30 lat na scenie, ale wcześniej jakoś nie pasował do telewizyjnej konwencji. Te- raz - pasuje. I to jest ten kieru- nek, który mi się podoba: wię- cej odwagi, mniej schematów.

Gdyby miał pan wskazać jedną rzecz, której dziś najbardziej potrzeba festiwalowi - co by to było?

Otwartości - i gatunkowej róż- norodności. Festiwal powinien pozostać miejscem, w którym spotykają się różne pokolenia i estetyki. Nie tylko gwiazdy znane z radiowych list, ale też ci, którzy dopiero szukają swo- jej drogi. Z jednej strony artyści o ugruntowanej pozycji, z dru- giej - debiutanci z autorskimi utworami, którzy mają coś do powiedzenia. Myślę, że warto byłoby stwo- rzyć przestrzeń do współpracy między tymi środowiskami. Na przykład zaprosić uznanych twórców do napisania utwo- rów dla debiutantów - albo od- wrotnie: pozwolić debiutan- tom pracować z repertuarem autorów z najwyższej półki. To wymaga przemyślanej organi- zacji, ale może przynieść bar- dzo ciekawe efekty. Bo o to przecież chodzi - żeby festiwal nie tylko pokazywał, co już mamy, ale pomagał budować to, co dopiero nadchodzi.

W notyfikacji z 1966 roku, podpisanej przez papieża Pawła VI po Soborze Watykańskim II, stwierdzono, że choć Indeks „pozbawiony jest znaczenia dyscyplinarnokarnego”, to „nadal zachowuje swoją wartość moralną jako ostrzeżenie przed treściami szkodliwymi dla wiary i dobrych obyczajów”. Odtąd przestrzeganie Indeksu jest kwestią sumienia wiernych.

Ani czytać, ani drukować

Indeks Ksiąg Zakazanych (Index librorum prohibitorum lub Index Expurgatorius) był spisem dzieł uznanych przez Kościół katolicki za niebezpieczne dla duchowości wiernych. Przez cztery wieki do Indeksu wpisano całkiem sporo prac naukowych, religijnych, politycznych i utworów literatury pięknej.

Był czas, gdy Kościół nie zalecał sięgać po Dantego, Galileusza, Kanta, Kartezjusza, Keplera, Mikołaja Kopernika, Monteskiusza, Woltera oraz 29 łacińskich wydań Pisma Świętego. Ponadto Mickiewicza, a nawet... „Dzienniczek” siostry Faustyny. Ostatni Indeks został wydany w 1948 r. i zawierał ponad 4 tys. pozycji.

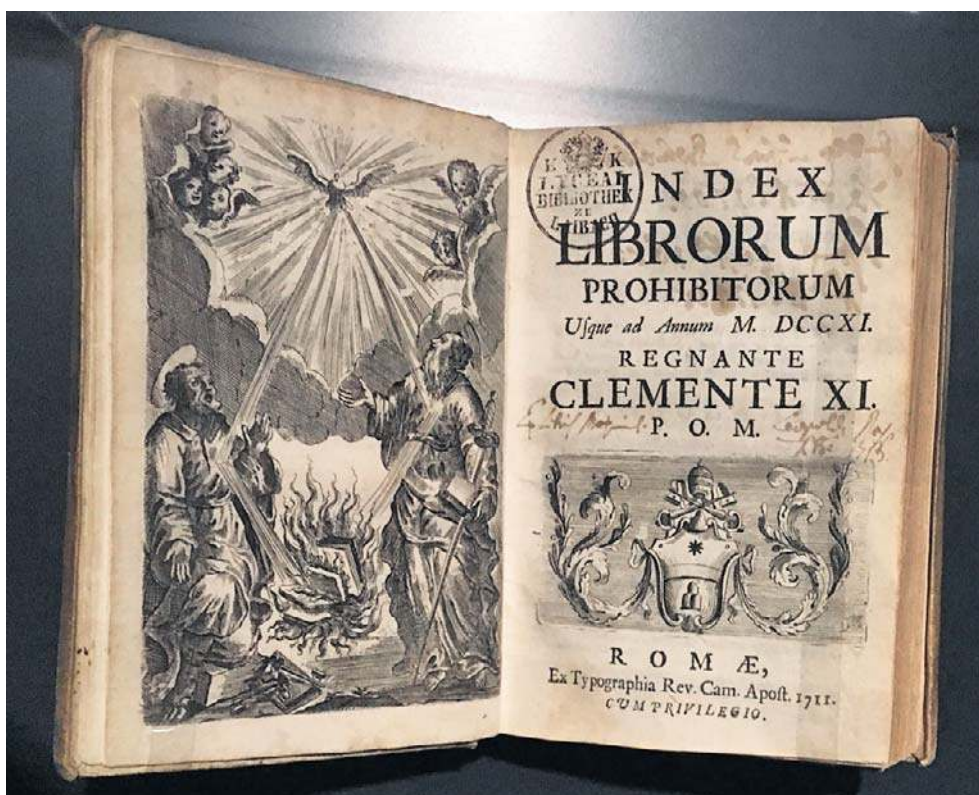
Sam Indeks Ksiąg Zakazanych wskazywał, których książek nie wolno czytać, drukować, posiadać, ani o nich dyskutować. Zakaz obejmował wszystkich: od królów po najbardziej biednych mieszkańców chrześcijańskich państw.

Rola Inkwizycji

Sięgamy do początków, czyli do czasów, gdy waldensi przetłumaczyli Biblię na prowansalski, a John Wycliffe na język angielski. W celu zwalczania ruchu waldensów oraz herezji albigensów synod prowincjonalny w Tuluzie w 1229 roku wydał zakaz posiadania jakiegokolwiek części Pisma Świętego przez laików w diecezji tuluskiej.

Pojawienie się kolejnych nieaprobowanych przez Kościół przekładów Pisma Świętego na języki narodowe spowodowało w niektórych krajach wydanie oficjalnych zakazów ich czytania, z wyjątkiem psalmów. Wraz z nadejściem reformacji i rozpowszechnienia się wynalazku ruchomej czcionki trudno było kontrolować teksty niezgodne z doktryną. W 1511 roku Juliusz II wydał więc nową wersję bulli „In Coena Domini” (po raz pierwszy opublikował ją Urban V w 1363 r.). Był to zbiór ekskomunik ogłoszonych do tego czasu przez papieża przeciw konkretnym osobom.

Bulla Juliusza II nakładała ekskomunikę również na wszystkich, którzy posiadali, czytali, drukowali bądź rozpowszechniali pisma wymienio-



Indeks Ksiąg Zakazanych wskazywał, których książek nie wolno czytać, drukować, posiadać, ani o nich dyskutować

CZTERYSTA LAT Z INDEKSEM KSIĄG ZAKAZANYCH

14 czerwca 1966 r. Kongregacja Nauki Wiary skasowała Indeks Ksiąg Zakazanych. Ale nie znaczy to, że został odłożony do prawnoteologicznego lamusa

Mariusz Grabowski

nych w niej osób. Z kolei Paweł IV w 1543 roku zadekretował, że nie wolno drukować książek bez pozwolenia Inkwizycji.

Martwy zapis?

Jasne jest, że owe zakazy można było egzekwować w tylko niewielkim stopniu. Najbardziej restrykcyjne prawo obowiązywało w Hiszpanii czy Italii. W krajach protestanckich Indeks w praktyce nie obowiązywał, zaś w innych niż Hiszpania czy Włochy państwach większość „ksiąg zakazanych” można było dostać bez większych kłopotów.

Było tak np. z dziełem naszego uczonego rodaka Miko-

łaja Kopernika „O obrotach sfer niebieskich”, które trafiło do Indeksu w 1616 r., czyli w czasie, kiedy już dwukrotnie zdążono je wydać drukiem. Skłania to wielu badaczy do twierdzenia, że Indeks Ksiąg Zakazanych był zatem w dużej mierze martwym zapisem. Inkwizycja nie była w stanie wszystkiego skontrolować, toteż większość wpisanych do niego dzieł swobodnie krążyło po świecie, nie rzadko nawet w Kościele.

Np. Indeks z 1564 r. orzekł, że niektóre prace Savonaroli i Erazma z Rotterdamu są dopuszczalne. Mimo to wiele dzieł popularnej literatury włoskiej z pierwszej połowy XVI w. uznano za podejrzane.

Rok 1559

Wróćmy do Pawła IV i jego decyzji. Nim został papieżem, pełnił funkcje Generalnego Inkwizytora i już jako Giovanni Pietro Carafa polecił sporządzić wykaz dzieł, których nie wolno „rozpowszechniać, posiadać ani czytać”. W ten sposób w roku 1559 r. po raz pierwszy ukazał się powszechny Indeks Ksiąg Zakazanych. Umieszczono w nim tytuły dzieł oraz nazwiska autorów „rozpowszechniających nauki niezgodne z nauczaniem Kościoła”.

Henry Kamen w „Inkwizycji Hiszpańskiej” zauważa, że na mocy bulli papieskiej Pawła IV z 5 stycznia 1559 r. odwołano wszelkie pozwolenia na czyta-

nie zakazanych dzieł. Spowiednicy mieli obowiązek dowiadywać się, kto je czyta i rozpowszechnia – chodziło szczególnie o publikacje luteranckie.

Od zakazu nikt nie był zwolniony – pod groźbą ekskomuniky obowiązywał on urzędników kościelnych, biskupów, arcybiskupów, kardynałów, patriarchów, a także panujących i cesarzy.

„Nie z lęku przed światem”

Zacytujmy fragment przedmowy do jednego z pierwszych wydań Indeksu: „Kościół ustanowiony został przez Boga jako nieomylny przewodnik dla wiernych i z tego powodu, wyposażony w niezbędną władzę, nie może uczynić inaczej; ma obowiązek, a w konsekwencji poświęcone prawo, do zapobiegania, jakkolwiek zamaskowanym, błędom i zgorszeniu trzody Jezusa Chrystusa. (...) Nie wolno również twierdzić, że zakaz dotyczący szkodliwych książek jest naruszeniem wolności, kampanią przeciwko światłu prawdy, oraz że »Lista« jest występkiem przeciw erudycji i nauce. (...) Ateistyczne i niemoralne książki są często pisane w ujmującym stylu, poruszają tematy pobudzające żądze cielesne, zarozumiałość ducha i zawsze są zamierzone jako ziarno zepsucia w umysłach i sercach czytelników przez swą ozdobność i chwytliwość; dlatego Kościół, jako troskliwa matka, strzeże wiernych przez stosowne zakazy, ażeby nie przykładali warg do czary z trucizną. Nie z lęku przed światłem Kościół zabrania czytania pewnych książek, ale z ogromnej gorliwości rozgorzałej przez Boga, nie toleruje utraty dusz wiernych, nauczając, że człowiek upadły w pierwotnej prawości ulega silnej skłonności do zła, a zatem znajduje się w potrzebie opieki i ochrony (...)”.

Inne wyznania

Choć żadna wspólnota protestancka nigdy nie wprowadziła oficjalnego i powszechnie obowiązującego Indeksu, to jednak w większości krajów protestanckich istniała cenzura oraz sporadyczne przypadki niszczenia książek uznanych za „bezbóżne” i „antypanstwowe”.

Dotyczyło to jednak głównie tzw. narodowych kościołów protestanckich (przede wszystkim część luteran i anglikanie). W porównaniu do krajów katolickich cenzura była jednak znacznie łagodniejsza, a w niektórych krajach, np. w Niderlandach oraz w Antwerpii i Bazylei, od XVII wieku wręcz nieistniejąca.

Z kolei w Kościele Wschodnim istniało wiele spisów tzw. ksiąg odrzuconych, mających przestrzegać wiernych przed sięganiem po publikacje sprzeczne z Ewangelią i gło-

szące herezje. Autorstwo pierwszej z nich przypisywane jest Atanazemu – biskupowi Aleksandrii.

Z czasów panowania Iwana Groźnego znany jest tzw. Domostroj – kodeks zawierający przestrogi dla wiernych przed praktykowaniem oraz sięganiem po publikacje związane z wróżbiarstwem. Zaś zwołany wówczas Sobór Stuzdziałow nakazywał biskupom kontrolowanie powstających w ich parafiach ikon i odrzucenie tych pisanych niezgodnie z tradycją.

Indeks a prawo

Notyfikacja z 1966 r. miała prawne konsekwencje. Kodeks Prawa Kanonicznego z 1983 r. zaleca biskupom czuwanie, by „wpływ środków przekazu i słowo pisane nie szkodziły wierze i obyczajom wiernych”. W przypadku szczególnego zagrożenia ze strony jakiejś publikacji biskupi powinni podjąć środki zaradcze o charakterze informacyjnym. Negatywne rekomendacje dla niektórych pozycji mogą wydawać krajowe Konferencje Episkopatu czy poszczególne biskupi.

Przykładem w Polsce jest stanowisko Episkopatu wobec głośnej książki „Kod Leonarda da Vinci” Dana Browna (wyszła w Polsce w 2004 r.). Czytamy w nim: „Kodeks Prawa Kanonicznego nadaje prawo i obowiązek pasterzom Kościoła: »Dla zachowania nieskazitelności wiary i obyczajów, pasterze Kościoła posiadają prawo i są zobowiązani czuwać, by wiara i obyczaje wiernych nie doznały uszczerbku przez słowo pisane lub użycie środków społecznego przekazu«”.

W wyjątkowych przypadkach Kongregacja Nauki Wiary wydaje publiczne orzeczenie, iż dana publikacja jest niezgodna z nauką Kościoła.

Z Sartrem, ale bez „Mein Kampf”

Ostatnia, 16. edycja Indeksu Ksiąg Zakazanych pojawiła się w 1948 roku. Wtedy też trafił na listę np. Jean-Paul Sartre. Był tam już m.in. „Mit XX wieku” Alfreda Rosenberga, ale – co ciekawe – nie było np. „Mein Kampf” Adolfa Hitlera. Podobnie jak „Manifestu komunistycznego”.

Dziś na temat Indeksu panuje wstydlive milczenie. Ale, jak pisał Jerzy Sosnowski w „Więzi” w 2017 r.: „Efektem tego naszego zbiorowego milczenia jest tłąca się gdzieś tam myśl, że może Indeks ksiąg zakazanych nie był wcale takim złym rozwiązaniem. Czasopismo »Frondek«, z właściwą sobie dezynwolturą, prowadziło nawet jakiś czas temu rubrykę pod tytułem »Index Librorum Prohibitorum«, w której piętnowało książki uważane w tym kręgu za niestosowne, niebezpieczne (choć – dodajmy koniecznie – radziło, by ich nie czytać, a nie by je palić)».

Arlena Sokalska

NAJNIŻSZY KRĄG PIŁKARSKIEGO PIEKŁA



Być kibicem reprezentacji Polski to ciężka trauma. Właściwie wszyscy my, kibice, powinniśmy regularnie odwiedzać kozetkę psycho-terapeuty i zwierzać się z poczucia zawodu, poczucia bycia oszukanym, poczucia zażenowania, poczucia wstydu. I to od wielu lat. A kiedy już myślimy, że gorzej być nie może, okazuje się, że jednak zstępujemy w kolejny krąg piłkarskiego piekła. I nie zmieni tego nawet nagła decyzja selekcjonera Michała Probiez, który nieoczekiwanie w czwartek rano podał się do dymisji.

Bo awantura, którą rozpętał swoją - chyba mocno nieprzemyślaną decyzją - o odebraniu Robertowi Lewandowskiemu opaski kapitańskiej - jest tylko widomym znakiem raka, jaki toczy polską piłkę od lat.

Reprezentacja Polski ostatni raz napawała dumą kibiców prawie dekadę temu: przed Euro 2016 i na samym turnieju. Gdyby nie przestrzelony karny przez uwielbianego Jakuba Błaszczykowskiego, znaleźlibyśmy się w najlepszej czwórce tego turnieju i nie byłoby to nic, co zdziwiłoby nas, kibiców. Ale nawet z tamtym selekcjonerem, Adamem Nawalką, następny turniej (MŚ w Rosji, które chciałoby się zapomnieć nie tylko z powodów sportowych), okazał się absolutną katastrofą, pełną żenujących momentów, które chciałoby się na zawsze wyprzeć z pamięci.

I kiedy wydawało się, że gorzej być nie może, okazywało się, że właśnie pukamy w dno od spodu. Ukoronowaniem tego wszystkiego, co miało miejsce w ostatnich latach (mimo kilku bardzo różnych selekcjonerów, w tym zagranicznych), jest ostatnia afery. Probiez zachował się jak słoń w składzie porcelany, a jego działania w pełni oddają to, co działo się na boisku w ostatnich meczach kadry: chaos i nieporadność.

Czy Robert Lewandowski powinien być kapitanem reprezentacji? Pełnił tę rolę przez ostatnich 11 lat, z których dziewięć było dla kadry trudnymi. Czy nadszedł czas, by opaskę nosił ktoś inny? Być może. Ale nie może być tak, że selekcjoner bez większych dokonania upokarza publicznie najlepszego zawodnika w historii polskiego futbolu. Albo może sprawiedliwiej: największą piłkarską międzynarodową gwiazdę w historii polskiej piłki.

Bo czym innym, niż upokorzeniem, był ten nocny telefon do Lewandowskiego? Wiele osób wspomina, że Jakub Błaszczykowski też cierpiał, gdy Adam Nawalka zdecydował o odebraniu mu opaski kapitańskiej. Tylko że wtedy to zostało przeprowadzone zupełnie inaczej, po osobistych rozmowach, a sam cel tej zmiany też został wszystkim zakomunikowany w rozsądny sposób: zdecydowałem tak, bo reprezentację będziemy budować wokół Lewandowskiego (przypomnijmy, że wówczas Błaszczykowski często już pauzował ze względu na kontuzje i było jasne, że za rok-dwa zakończy swą reprezentacyjną karierę).

Zresztą - jeśli wierzyć Lewandowskiemu - on zaproponował Probiezowi wyjście z sytuacji: by przekaz głosił, że to on sam zdecydował o zrzeczeniu się funkcji kapitana. Myślę, że kibice przyjęliby to ze zrozumieniem - wiadomo, że Lewandowski wiecznie grać w kadrze nie będzie.

Skończyło się, jak się skończyło: znów nie mamy selekcjonera, będzie nowy, więc Lewandowski pewnie wróci do kadry. W jakiej roli - nie wiadomo.

Poproszony w poniedziałek o skomentowanie tej całej afery Ronald Koeman, selekcjoner Holandii, naszego grupowego rywala w eliminacjach, a niegdyś świetny piłkarz, powiedział: „Nigdy nie powinienem wszczynać kłótni ze swoim najlepszym zawodnikiem. Nigdy z tego powodu nie wygrasz”.

Nic mądrzejszego o tej aferze, niż słowa Koemana, już Państwo nie przeczytacie.

Adam Bula

KOŃCZMY JUŻ Z NIMI. WSTYDU IM OSZCZĘDZIMY



Wydarzenie m czwartko-

wego poranka (12.06) stał się news, że trener piłkarskiej reprezentacji, Michał Probiez, podał się do dymisji po wtorkowej przegranej Polaków z Finlandią. Rozumiecie - w czwartek rano! Podobno jakiś piłkarz się żalił zaraz po meczu, że im ktoś drużynę spolaryzował i dlatego im słabo idzie. To co reszta Polski po wyborach ma powiedzieć?!

W środę Probiez z nadprezesem Kuleszą mógł jeszcze kombinować, jak posadę utrzymać, bo większość zaganiana była do tematu utrzymania się w pracy trochę ważniejszego selekcjonera, Tuska mianowicie. Zakładałem jednak roboczo, że Narod obojętny raczej mecz niż kilkugodzinne obrady w Sejmie, więc uwierzcie mi na słowo: tam gra naszych reprezentacji była tak samo dziadowska.

Ja sam meczu z Finami nie widziałem, bo jakoś tak w okolicach mistrzostw w Korei powiedziałem sobie: dość. Można walczyć latami o uratowanie związku, by i tak dojść do momentu, w którym trzeba wreszcie przyjąć podstawowe fakty do wiadomości: nie ma szans, by coś dalej z tego było. A ja pamiętam jeszcze, jak z tatusem oglądałem w telewizorze „Wisła” mecz na Wembley, więc mowa o naprawdę długim i skomplikowanym związku.

Dziś patrzę na rozgorączkowanych kibiców z mieszaniną rozbawienia i współczucia, że nadal się szarpia w toksycznym związku pt.: „Polacy nic się nie stało”. Stało się już dawno i snucie chorych teorii, że kibicem reprezentacji trzeba być dlatego, że jest się Polakiem, a nie dlatego, że jest czemu kibicować, zostawmy dla interesariuszy: tych, którzy z naganiania nas do tego „niby obowiązku” zwyczajnie żyją. I to zwykle skandalicznie ponad stan.

Podobnie skandalicznie ponad stan żyje się jeszcze większej armii ludzi, którzy naganiają nas do kibicowania tej czy innej politycznej drużynie. Że niby jak zagłosujesz tak a nie inaczej, to się Polska skończy. Dla odmiany jednak tu nie ma żadnego: „rodacy, nic się nie stało”. Tu najmniejszy duperel jest z marszu narodową tragedią, wszystko jest największym skandalem albo przy-

najmniej zdradą. I wszystko podawane jest w stylu tak koszmarnie amatorskiej kopaniny, że pewnie przy tym gra reprezentacji to taka tylko trochę gorsza tika-taka.

Do jednodominutowych pytań do premiera Tuska, zadawanych przed głosowaniem wotum zaufania dla jego rządu, zapisało się w środę w Sejmie 250 posłów! Coś w miarę sensownego - w znaczeniu zadania jakiegoś pytania na jakiś temat - udało się może z 15 dumnym reprezentantom Narodu. Jak tam było z Finami - mieliśmy choć tyle celnych podań?

Np. taka posłanka PiS, Agnieszka Wojciechowska van Heukelom, walnęła Tuska tak: „ja się do pana premiera zwrócę po staropolsku: kończ pan, wstydu oszczędź”. Na Jezusa Chrystusa i Rany Jego: ile... można. Ile można zarabiać na życie mając gębę pełną patriotycznych frazesów i nie wiedzieć, że w „Potopie” to Kmicic mówi do Wołodyjowskiego, zawstydzony w pojedynku na szable, a nie odwrotnie. Ergo: posłanka PiS z ziemi łódzkiej wyłazi na sejmową mównicę i pokornie prosi wrażeń Tuska: dobij mnie za głupotę moją.

Prerażające jest to, że pani Agnieszka ma wypisane w życiorysie, że posiadała wykształcenie wyższe na kierunku: filologia polska! Czaicie - ten sam błąd popełniały przed nią pokolenia niedo-szytych a dochrapanych władzy polityków, ale polonistka? Czepiałbym się jej nawet, gdyby mówiła „pod rząd” zamiast poprawnie „z rządu”, a co dopiero za Kmicica. Tak samo jak czepiał się będę Hołowni Szymona, który tego samego dnia przestrzegł przed otwieraniem „puszki z Pandorą”. No jażesz... Ile można! Ten przynajmniej, choć ledwie maturę liźnął, to i tak zrobił karierę, polegającą na tym, że napisał więcej książek niż przeczytał. No więc głupi nie jest...

Mówię o rzeczach z pozoru drobnych, bo od nich się wszystko zaczyna i przez nie się wszystko wali. Pozwalamy - bez najbardziej oczywistej reakcji - wymądrzać się zwykłym nieukom na tematy, o których nie mają bladego pojęcia, a ci, ośmieleni - rozpędzają się w tym jak Struś Pędziwiatr, bo głupota nie czuje wstydu.

A jedyną skuteczną metodą na pleniącą się bezwstydną głupotę jest walczyć z nią sposobem imć Longinusa Podbipięty: ciąć mocno i szeroko, nadzieję mając, że po trzy tepe łby naraz spadać będą. Ciąć w Imię Boże i dla Ojczyzny ratowania. Bo - narodzie chrześcijański, larum grają.

Coś się chyba jednak stało...

Rozumiem frustrację kibiców. Sami jesteśmy sfrustrowani, bo wiemy, że potrafimy grać lepiej. (...) Trudno jest cokolwiek teraz analizować. Jestem zły i rozczarowany. Najważniejsze, żebyśmy szli w tą samą stronę. Panuje zła atmosfera. Musimy to naprawić i trzymać się razem. Gorzej być nie może i musimy coś zmienić

JAN BEDNAREK, TYMCZASOWY KAPITAN REPREZENTACJI POLSKI, PO PRZEGRANYM MECZU Z FINLANDIĄ

SENSACJA

Riese to znaczy Olbrzym. Jakie skrywa tajemnice?

Po tom „Riese” Krzysztofa Piersy można sięgnąć przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszy to fabuła historyczno-sensacyjno-kryminalna o zabarwieniu rozrywkowym, którą autor w nim zamieścił, użytkując na to 365 stron tekstu, w znacznej części w formie dialogów. Drugi to on sam.

Youtuber Dobra Rada

Zacznijmy od przedstawienia osoby pisarza. Krzysztof Piersa to postać barwna: terapeuta ds. uzależnień, autor poradników profilaktycznych, ale też powieści młodzieżowych i kryminałów. Z pomniejszych hobby: skleja modele, kolekcjonuje koty i kolorowe koszule, gotuje, ogląda Netfliks. Ma ponadto żonę o dość krewkim temperamencie i wasy w stylu sarmackim.

Co ważne, nie ukrywa, że jego zainteresowanie uzależnieniami wzięło się stąd, że sam znalazł się ongiś w szponach nałogu. Maniakalnie grał w gry komputerowe, a jego rekordem grania non stop było 56 godzin bez snu. Dziś przemierza Polskę, prowadząc zajęcia profilaktyczne z młodzieżą i dorosłymi.

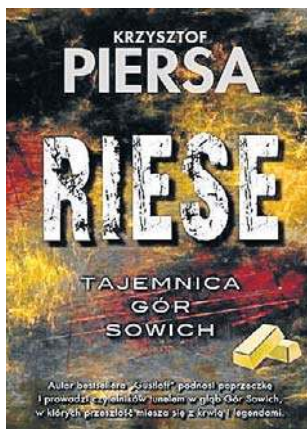
„Jeżeli granie na komputerze jest ważniejsze niż spotkania ze znajomymi, kiedy zaczynamy być wściekli przez to, że przegraliśmy grę, to też jest sygnał, że nasze wartości, nasza samoocena są zachwiane. Ja zawsze polecam zarówno graczom, jak i użytkownikom telefonów spróbować zrobić sobie dwudniowy detoks, na weekend odciąć się od grania albo od samych mediów społecznościowych i zobaczyć, jak sobie dajemy z tym radę - czytamy w wywiadzie z nim na stronie moja-ostroleka.pl.

Gwizd Złotego Pociągu

Skoro już znamy autora, wásatego człowieka po przejściach odzianego w barwne koszule, spójrzmy, co nam oferuje w swej najnowszej książce. Sprawę wyjaśnia w dużym stopniu podtytuł: „Tajemnica Gór Sowich”. Każdy pasjonat sekretów wie od razu, że chodzi o tajemnicze sztolnie i podziemia, w których hitlerowcy mieli - w zależności od stopnia hardkorowości przekazu - budować bombę atomową, wytwarzać u-booty, eksperymentować na więźniach, zamieniając ich w wilkołaki, albo po prostu chować w nich złoto i zrabowane dzieła sztuki.

Piersa długo trzyma czytelnika w niepewności. Dopiero na 245 stronie pojawia się sformułowanie „Die Glocke”, czyli broń grawitacyjna. Ale żeby spekulować o niemieckiej wunderwaffe, autor musiał wprzód zawiązać intrygę. Oto brutalnie zostaje zamordowana Róża Hochberg, dziedziczka zamku Książ. Ginie na torowisku, tym samym, po którym w 1945 r. miał jeździć Złoty Pociąg. Kilka dni później znika też detektyw, który próbował odkryć prawdę. Wałbrzych zaczyna szeptać o seryjnym mordercy - strażniku sekretów ukrytych w Górach Sowich.

Na szczęście na miejscu pojawia się nietypowe trio: ekspolicjantka z przeszłością, przewodnik z obsesją na punkcie wojny i preppers, cwaniak od wszystkiego, który zna wszystkie teorie spiskowe świata. Dzięki nim wyruszamy w świat bunkrów, kłamstw i kruszcu, który miał zmieniać bieg historii. **grab**



Krzysztof Piersa,
„Riese. Tajemnica Gór
Sowich”. Wyd. Initium,
Kraków 2025,
cena 49,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ANNA LEWANDOWSKA

Zbije piątkę

Celebrytka ma swoje studio fitness w Hiszpanii, ale to nie powstrzymuje jej od ekspansji na inne kraje świata. Poinformowała właśnie na InstaStories, że jesienią zaplanowała Healthy Day With Ann w czterech miastach USA i Kanady - Chicago, Nowym Jorku, New Jersey i Toronto. - Zatańczymy bachatę, zumbę, salsa, bo tym razem będziemy razem trenowali ze mną i z moim healthy teamem przy stworzonej specjalnej muzyce we współpracy z DJ-em. Przyjdźcie, potańczymy, poćwiczymy, pobawimy się, zbijemy piątkę, zrobimy fajne zdjęcie i się wytulimy, podzielimy dobrą energią na długo. Zabierajcie przyjaciół, rodzinę, spędźmy ten dzień razem. Nie mogę się doczekać, kiedy was zobaczę - zachęca. Za trening z Lewandowską oraz pakiet powitalny, zawierający upominki, trzeba zapłacić 150 dolarów, czyli około 560 złotych.

MAŁGORZATA KOZUCHOWSKA

Nie jest amantką

Kiedy niedawno gwiazda była gościem podcastu Wojewódzki & Kędzierski, jego autorzy spytali ją, do jakiego reżysera by nie zadzwoniła, aby poprosić o rolę. Kozuchowska odpowiedziała: - Do Smarzowskiego bym nie zadzwoniła, dlatego że bardzo dawno temu poprosiłam o spotkanie z nim. Spotkał się ze mną i konkluzja była taka, że w jego filmach nie ma ról dla takich aktorek jak ja. On powiedział: „Co ty byś u mnie zagrała? Jesteś za ładna do moich filmów”. Moim zdaniem ani nie jestem za ładna, ani nigdy nie byłam w polskim kinie amantką. Zawsze byłam raczej komediowa, charakterystyczna, taka jest prawda. Wojtkę uwielbiam. Powiedziałam to głośno i mam nadzieję, że nie pożałuję. Dlatego bym do niego nie zadzwoniła, bo już wiem, że on nie ma miejsca w swoim filmowym świecie dla mnie - podsumowała.

AGNIESZKA WOŹNIAK-STARAK

Lubi zmiany

W minioną środę prezenterka poinformowała w mediach społecznościowych, że zostaje się ze swoją stacją телеви-



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Karolina Gilon wpadła w panikę, kiedy okazało się, że koty nie akceptują jej nowo narodzonego synka

zyną - TVN. Spędziła w niej ostatnie dwanaście lat i odniosła największe sukcesy. „Moja zawodowa droga, podobnie jak ta życiowa, bywała trudna i wyboista, ale jednak na tyle ciekawa i pełna zaskakujących zwrotów akcji, że nigdy nie wybrałabym innej. Zawsze marzyłam o tym, żeby moja praca była moją pasją i to się udało. Zawsze z wielkim entuzjazmem rzucałam się na nowe wyzwania, bo lubię zmiany” - podsumowała. I zakończyła: „Co dalej? Zobaczymy... Ostatnie wybory prezydenckie pokazały, jak bardzo zmieniła się medialna rzeczywistość. Tradycyjne media przestały być głównymi kanałami komunikacji. Trzeba iść z duchem czasu, dlatego nieustannie w każdy wtorkowy poranek zapraszam do Onetu”.

KAROLINA GILON

Wpadła w panikę

Prezenterka podzieliła się kilka dni temu w mediach społecznościowych przykrymi wiadomościami. Okazało się, że ukochane koty celebrytki Puszkin i Nowy kompletnie nie dogadywały się z jej nowo narodzonym dzieckiem. - Kiedy przyjechalśmy ze szpitala do domu, przełożyliśmy Franka z fotelika do łóżeczka, Puszkin wskoczył na drapak. Jak usłyszał płacz Franka, wpadł w szal i prosto z tego drapaka wskoczył na Franka do łóżeczka. Jak to zobaczyłam, dostałam ataku paniki, miałam stany lękowe, zamknęłam się w pokoju i zaczę-

łam ryczeć jak nigdy - wyznała. Dalsze próby osvajania kotów z dzieckiem spęzły na niczym. Wybawieniem okazała się siostra koleżanki celebrytki, która zgodziła się przyjąć oba zwierzęta do siebie. - Bardzo szybko się u niej odnalazły. Okazało się, że jest zero problemów, totalnie czują się jak u siebie - podsumowała zadowolona Gilon.

BEATA PAWLIKOWSKA

Nie zgadzała się z mężem

Słynna podróżniczka wyszła za mąż za Wojciecha Cejrowskiego w 1994 roku. Małżeństwo przetrwało dekadę i zakończyło się unieważnieniem w sądzie biskupim. W wywiadzie dla „Vivy” celebrytka gorzko podsumowała tę relację. - To był dziwny ślub. Zawarty w kościele, ale nie przekazany dalej do urzędu stanu cywilnego. To znaczy, że oficjalnie w polskich dokumentach jestem i zawsze byłam panną. Dlatego potem nie było rozwodu, a ślub został po prostu anulowany przez sąd biskupi. Dobrze, że tak się stało. To nie był dobry związek. Nie lubiliśmy się, nie byliśmy przyjaciółmi. Ja nie lubiłam jego kontrowersyjnego programu w telewizji, bo kompletnie nie zgadzałam się z jego poglądami, on nie znosił moich książek, szczególnie tych o życiu. Walczyliśmy, trzaskaliśmy drzwiami, rozstawaliśmy się, wracaliśmy. Na całe szczęście to dla mnie zamknięty rozdział - stwierdziła.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Horoskop dzienny wróży, że przekonasz się, jak wiele jest w stanie zrobić ktoś znajomy, aby utrudnić Ci dostęp do pewnych informacji...

Ryby (19.02 - 20.03)

Poznasz pomysł na oszczędności w domowym budżecie. Horoskop na dziś mówi, że z niego skorzystasz.

Baran (21.03 - 19.04)

Nie trać czasu na toczenie jałowych sporów. Horoskop dzienny na piątek radzi szukać kompromisowych rozwiązań.

Byk (20.04 - 20.05)

Zrobi się wokół Ciebie trochę nerwowo. Horoskop dzienny wróży, że do uspokojenia emocji potrzebna będzie Twoja interwencja.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Horoskop na dziś mówi, że Twoja uwaga będzie w dużej mierze skupiona na potrzebach innych osób.

Rak (22.06 - 22.07)

Ktoś ze znajomych odkryje przed Tobą swoją drugą naturę. Horoskop dzienny na piątek wróży, że to zachowanie bardzo Cię zaskoczy.

Lew (23.07 - 22.08)

Postawisz przed sobą ambitne zadanie. Horoskop dzienny zapowiada, że bardzo dobrze sobie z nim poradzisz.

Panna (23.08 - 22.09)

Nie bierz na swoje barki dodatkowych obowiązków. Horoskop na dziś bardzo wyraźnie ostrzega, że nie będziesz w najwyższej formie.

Waga (23.09 - 22.10)

Będiesz przez cały dzień w doskonałym nastroju. Horoskop dzienny na piątek mówi, że Twój stan będzie udzielał się innym osobom.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Chętnie podzielisz się swoją wiedzą i doświadczeniem z innymi osobami. Horoskop dzienny zapowiada, że ludzie będą Ci za to wdzięczni.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Cechować Cię będzie przywiązywanie wagi do szczegółów. Horoskop dzienny zapowiada, że chwilami oprzesz się o pedanterię...

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Unikaj ludzi, którzy mają zwykłe inne zdanie niż Ty. Horoskop dzienny na piątek ostrzega, że z Waszego spotkania nic dobrego nie wyjdzie.

MISTRZOWIE URODY LIDERZY I UCZESTNICY

Powierzamy im o wiele więcej niż tylko wygląd

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Prezentujemy bliżej kolejnych uczestników akcji wielkiej akcji Mistrzowie Urody 2025. Bo piękno zaczyna się od ludzi, którym powierzamy znacznie więcej niż tylko własny wygląd.

Opowiadamy im o naszych rozstaniach i zakochaniach, ważnych decyzjach, które mamy podjąć, ślubach, rozmowach kwalifikacyjnych, poro-
dach i pogrzebach. O naszych kompleksach i marzeniach. O zwykłych dniach i tych wielkich, przełomowych chwilach.

Tak, fryzjerzy, styliści, kosmetyczki, ale też tatuatorzy

i dietetycy czy trenerzy personalni są świadkami naszych zmian - i tych zewnętrznych, i tych wewnętrznych.

Widzą nas, gdy przychodzimy zmęczeni, zestresowani, roztrzęsieni. Igdy wychodzimy - lżejsi, spokojniejsi, piękniejsi również wewnętrznie.

Ich praca to coś więcej niż tylko usługa. To obecność. To umiejętność słuchania. To dyskretne towarzyszenie w naszej codzienności.

Specjaliści z branży beauty to osoby, z którymi spotykamy się regularnie, często przez wiele lat. A Mistrzowie Urody - największy w Polsce plebiscyt w tej branży - to akcja, dzięki której możemy nagrodzić tych, którzy na co dzień

dbają o nasz wygląd, samopoczucie i pewność siebie. Dzięki tej akcji możemy również poznać bliżej wielu profesjonalistów z naszego regionu.

- Ten plebiscyt pokazuje, jak wielką rolę w naszym codziennym życiu odgrywają osoby pracujące w branży beauty. To one dbają o nasze dobre samopoczucie, pewność siebie i często są naszymi powiernikami. Cieszę się, że możemy dać im przestrzeń do tego, by zostali zauważeni i docenieni - mówi Daria Janiewicz-Kaczmarek, odpowiedzialna za realizację akcji Mistrzowie Urody w całej Polsce. I dodaje: - Każdego roku widzę, jak wiele emocji budzi

ta akcja: ile dumy przynoszą nominacje, ile radości sprawiają głosy klientów. To niesamowite uczucie uczestniczyć w przedsięwzięciu, które wywołuje tyle pozytywnej energii. Wierzę, że i w tym roku wspólnie z naszymi Czytelnikami i Internautami odkryjemy wielu wspaniałych Mistrzów Urody!

To zdecydowanie nie tylko okazja do zdobycia prestiżowych tytułów, ale również doskonała, wielopłaszczyznowa promocja. O liderach poszczególnych kategorii regularnie piszemy i w papierowych, i internetowych wydaniach naszej gazety, dlatego dziś prezentujemy bliżej kolejnych wspaniałych uczestników.



Katarzyna Królak,
Salon Konato,
Gdańsk

Kategoria: Fryzjer Roku

Dlaczego ten zawód?

Od początku wiedziałam że zostanę stylistką. Od zawsze interesowałam się branżą beauty.

Co zmienia się w podejściu klientów do kwestii związanych z dbaniem o włosy?

Myślę, że świadome zabiegi pielęgnacyjne, klienci patrzą na skład kosmetyków i łatwo zachęcić ich do odpowiedniej pielęgnacji domowej.

Jaką historię związaną z pracą wspomina Pani szczególnie?

Najbardziej utkwiła mi w pamięci klientka, która dwie godziny przed własnym ślubem szukała salonu, w którym mogłaby się uczesać, gdyż jej fryzjer się rozchorował.

I co się z nią stało?

Oczywiście moje sympatyczne klientki ustąpiły jej miejsca. Do dnia dzisiejszego jest moją klientką.

Najważniejsze w tej pracy są...

Widoczne efekty swojej pracy i uśmiechy zadowolonych klientów.



Amin Omer,
Masaż Jastrzębia Góra,
Jastrzębia Góra

Kategoria: Masażysta Roku

Czy od początku wiedział Pan, że chce zajmować się masażem?

W moim przypadku - nie od początku.

Co więc zadecydowało o wyborze akurat tej ścieżki kariery?

Sam skorzystałem z takich usług, a w pewnym momencie zrodziła się myśl, że sam mógłbym wykonywać taki właśnie zawód.

Co najbardziej ceni sobie Pan w swojej pracy - kontakt z ludźmi, możliwość pomagania innym, a może coś zupełnie innego?

Wszystkie te elementy są niewątpliwie bardzo istotne.

Czy zauważa Pan zmiany w podejściu klientów do dbania o siebie - swój wygląd i zdrowie na przestrzeni ostatnich lat?

Pewnie, że tak, coraz większa jest ta świadomość.

Czy zdarzają się jakieś historie, które szczególnie zapadają w pamięć?

Tak, bardzo często zresztą można to bez trudu wyczytać z opinii zadowolonych klientów.



Lucyna Proć,
Fit z Lucyną,
Stara Wisła

Kategoria: Dietetyk Roku

Dlaczego dietetyka?

Nie od zawsze planowałam zostać dietetykiem - kiedyś zupełnie nie zwracałam uwagi na to, co jem. Wszystko zmieniło się, gdy zostałam mamą. Zaczęłam bardziej świadomie podchodzić do jedzenia, dbać o to, co trafia na nasze talerze, a zdrowe odżywianie stało się moją pasją. Z czasem przerodziła się ona w nową, zawodową drogę.

Klienci doceniają to, co Pani dla nich robi?

Tak, takich momentów jest wiele - każdy uśmiech, wiadomość z podziękowaniami czy historia przemiany to dla mnie ogromna motywacja. Szczególnie zapadła mi w pamięć pewna mama, która po wspólnej pracy odzyskała energię, schudła, poprawiła wyniki badań i powiedziała: „W końcu jestem dla siebie ważna”. Takie chwile przypominają mi, że naprawdę warto było wybrać tę drogę.

Najważniejsza jest pomoc...

Najbardziej cenię sobie możliwość realnej pomocy i to, że mogę towarzyszyć ludziom w ich zmianach. Widok poprawiającego się zdrowia, lepszego samopoczucia i rosnącej pewności siebie daje mi ogromną satysfakcję.

POZNAJ LIDERÓW

Oto liderzy rankingów w poszczególnych kategoriach plebiscytu po trzecim tygodniu głosowania.

Sprawdź aktualne wyniki na: www.dziennikbaaltycki.pl/uroda

FRYZJER ROKU

1. **Katarzyna Królak**, Salon Konato, Gdańsk
2. **Sylwia Feister**, Salon Fryzjerski Na postoju, Starogard Gdański
3. **Karolina Studzińska**, Centrum Urody Kosmetika, Tczew

BARBER ROKU

1. **Józek Węgliński**, Ideal Man Barber Shop, Borkowo
2. **Daria Rzeppa**, BarberShop, Reda
3. **Amelia Mnich**, Hapa Barber Shop, Bytów

KOSMETYCZKA ROKU

1. **Magdalena Krzepakowska**, Studio Kosmetyczne Magdalena Krzepakowska, Malbork
2. **Małgorzata Warmińska**, Studio Kosmetyczne Gosia Warmińska, Łaszka
3. **Joanna Okroj**, Sisters Salon Fryzjersko-Kosmetyczny, Krokowa

MAKE-UP ARTIST ROKU

1. **Marta Szydłowska**, MUB Makeup Urwisiowy Bączus, Gdańsk
2. **Marta Berg**, Beauty Concept Aesthetics, Władysławowo
3. **Barbara Kuźnicka**, basiapozniak_makeup, Bytów

STYLISTKA PAZNOKCI ROKU

1. **Natalia Szurowska**, Fabryka Rzęs, Gdynia
2. **Kinga Kochańska**, Studio Urody Fabio, Tczew
3. **Magdalena Kistowska**, Salon Kosmetyczny Z PASJĄ, Kartuzy

STYLISTKA RZĘS I BRWI ROKU

1. **Malwina Kropidłowska**, Kącik Urody, Węsioły
2. **Kaja Plasun**, Balola, Sopot
2. **Magdalena Kobiela**, Metamorphosis Magdalena Kobiela, Gdańsk

LINERGISTKA ROKU

1. **Weronika Gębura**, Weronika Gębura Makijaż Permanentny, Pruszcz Gdański
2. **Agnieszka Głębocka**, AGNES BEAUTY, Żukowo
3. **Iga Polkowska**, Iga Polkowska Permanent & Beauty, Gdańsk

PODOLOG ROKU

1. **Natalia Omelczuk**, Gabinet Podologiczny Na Wzgórzu, Gdynia
2. **Paulina Guzdaj**, Podologia w Garnizonie, Gdańsk
3. **Marta Mrugowska**, Centrum Zdrowej Stopy, Gdynia

MISTRZ TATUAŻU ROKU

1. **Tomasz Grefka**, Demol Tattoo, Chojnice
2. **Martin Magyar**, Hermetica Tattoo, Kobylnica
3. **Weronika Łapińska**, Weronika Łapińska Tattoo Art, Gdańsk

KOSMETOLOG ROKU

1. **Magdalena Niemczak**, Magnolio, Gdynia
2. **Aneta Siwowska**, Estetica Aneta Siwowska, Pruszcz Gdański
3. **Agata Nowakowska**, Diamond Clinic, Gdańsk

MASAŻYSTA ROKU

1. **Amin Omer**, Masaż Jastrzębia Góra, Jastrzębia Góra
2. **Adam Słowakiewicz**, Twój Masażysta Adam, Pogórze
3. **Magdalena Goleniewicz**, Moya Terapia, Gdańsk

TRENER PERSONALNY ROKU

1. **Rafał Pietrasiak**, Zdrofit, Gdańsk
2. **Aneta Jarońska**, FitBalans, Pruszcz Gdański
3. **Aleksandra Piechowska**, Aquapark Siłownia, Reda

DIETETYK ROKU

1. **Zuzanna Kalkowska**, Yey Centrum Zdrowia i Urody, Sopot
2. **Lucyna Proć**, Fit z Lucyną, Stara Wisła
3. **Agnieszka Langa**, Dietetyk Agnieszka Langa Równobalans, Wejherowo

SALON FRYZJERSKI ROKU

1. **Cięte Krzysztof Kucharski**, Gdańsk, Świętopełka 6
2. **Atelier Koloru**, Gdynia, Rymarska 20
3. **Studio Fashion Hair**, Słupsk, Kopernika 16/1

STUDIO URODY ROKU

1. **Salon Urody Efekt Piękna**, Sierakowice, ks. Sychty 10
2. **Monadi**, Reda, Orzeszkowej 13/2
3. **Magnolio**, Gdynia, Morska 122A

zwycięskie imię kobiece

niedźwiadek z bajki

zasięg działania

przeciwigazowa

po wtorku

25

człowiek z nizin dla górala

Naomi, tenisistka

plynie przez Drezno

proso afrykańskie

nauka o języku

napój w kartonie miasto The Beatles

scheda grecka bogini zemsty

kuzyn karpia powab, czar

... Beau-forta tylna część szyi

palma brazylijska

zboże na kaszę mały zawór

szero-kie ramiona

Dark ..., ojciec Luke'a

model Polo-neza

12

krasomówca

powóz konny np. domino

23

wyżyna w Azji

zrasza trawę

poniżej kostki

karny lub cywilny

20

przy-stań Arki Noego

dowódca jan-czarów

19

mit-tyczny król Eginy

pająk wodny

drewno z osiki

elegancki sklep

26

moż-dzierz kaszar-ski

szef uniwer-sytetu

czerno-ny kozak doniosły czyn

solny lub pruski

imię Paschal-skiej

duże pomiesz-czenie

odgłos na planie filmo-wym

... Messi, piłkarz

na czele zarządu spółki

ryba słodkowodna z wąsami

dawny deser

9

rzadki kuzyn żyrafy

czerno-ny kozak doniosły czyn

lewy dopływ Wisły

27

jajeczna potrawa

duża beczka

gliniany człowiek z podań

suro-wiec mine-ralny

część ins-pektu

Rusin lub Preis

jacht mieczowy szyb na odpadki

6

ple-mienny czarow-nik

w herbie naszej stolicy

15

pierwszy król Izraela

Danuta, piosen-karka

liche łóżko

wiadro z klepek

reprzy-menda

8

dawne por-wanie panny

kłatka filmowa

stolica Zambii

roz-rusznik w aucie

ciżba w tram-waju

irański złoty

stałe stano-wisko pracy

10

odmiana jabłoni

układ woj-skowy

2

urząd ministra

Rafa-el, teni-sista

wore-czek na pie-niądze, noszony przy pasie

odmiana espe-ranto

przyja-ciółka Nel

Leon lub Arosa

mierzy poziom wody w rzece

część nogi Mirosław, polski aktor

amant, wiel-biciel

kształt twarzy

roślina wodna o nitkowatych liściach

ma wiele odnóży

4

mowa środo-wis-kowa

dalszy plan obrazu

prosty w trój-kącie

odpady roś-linne

Stone, aktorka z USA

grecka kraina histo-ryczna

chroni VIP-a kraj w Azji

utwór poetycki lotność w sposo-bie rozu-mowania treść rozmowy

22

skrajna deska okrąg-laka

mel-dunek skła-dany do-wodcy

miara kąta płas-kiego

jedno-stka ciś-nienia

roślina na olej

stały etat Czer-wona Planeta

nocna zjaw

5

szcz-miel biały

lana w hucie

ma 365 dni wciele-nie boga Wisznu kawa zbożowa

14

gruba zasłona

wydzie-lony obszar

mamona, forsa

naj-dłuższy bieg

niewia-doma w rów-naniu

11

wada obiek-tywów

żąd-lący owad

staro-greckie igrzyska

poroże jelenia

część kasz-kietu

21

cztery mendle

Rzym dla Włoszki „Pieprz i ...

druga w pociagu

17

syn Adama i Ewy

ziółko, gagatek

chiński wer-niks

korek uliczny

18

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

AUTOPROMOCJA0010990246

Dziennik Bałtycki

w prenumeracie z Tele Magazynem

58 728 08 17

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą rozwiązanie – myśl Chilona.

ROZWIĄZANIE: NIECH JĘZYK NIE WYPRZĘDZA MYŚLI.

Spełnia się to, co sobie założyliśmy

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

ROZMOWA. Maciej Megier, długodystansowiec SKLA Sopot sezon rozpoczął od młodzieżowego rekordu Polski, a na horyzoncie ma kolejne śmiałe rezultaty.

Głośno o Tobie za sprawą nowego rekordu Polski U-23 na 10 000 metrów. Jak się z tym czujesz?
Na pewno czuję się bardzo dobrze. Udało mi się uzyskać satysfakcjonujący wynik na 10 000 metrów. Tak zaplanowałem z trenerem. Na pewno jest z tego powodu super.

Biegasz 3000 metrów przez przeszkody, ale też 5000 i 10 000 metrów. To gdzie się lepiej czujesz?

Generalnie teraz skupiam się na przeszkodach, aczkolwiek jestem w treningu, w którym schodzimy z kilometrów, większej intensywności. Startujemy co tydzień. Na Memoriale Żywiec będzie bieg na 5000 metrów, a potem już tak typowo pod przeszkody.

Skąd się ta Twoja prędkość wzięła?

Na pewno wynika to z piłki nożnej, którą trenowałem przez 10 lat (w Klubie Sportowym Beniaminek 03 Starogard Gdański - przyp.). Samo bieganie to już piąty rok leci. Myślę więc, że jak zaczynałem w klubie piłkarskim, to prędkością tam się wyróżniałem.



Maciej Megier rozpędza się w biegu na bieżni i w terenie

Na skrzydle biegałeś?

Tak, na skrzydle. Grałem też na środku pomocy, ale też na prawej obronie. W sumie to tak wszędzie po trochu. Głównie jednak to był środek pomocy.

Przeniosłeś się z piłki nożnej do biegów długich, a przed sezonem 2025 AZS AWFIS Gdańsk zamieniłeś na SKLA Sopot. Dlaczego?
Generalnie, gdy rok temu odszedłem od mojego poprzed-

niego trenera Krzysztofa Szalacha, z którym trenowałem w AZS-ie, to zdecydowałem się współpracować z trenerem Zbigniewem Rolbieckim. Przeniósłem się więc do SKLA Sopot, bo tam dali mi najlepsze warunki.

O jakich warunkach mówisz?

Takie podstawy, jak sprzęt sportowy, czy zapewnione zgrupowania pozakadrowe, takie dopełniające formę. Do tego jest jeszcze stypendium miesięczne.

Amatorzy biegania mogli się przekonać o Twojej prędkości chociażby w lutowym Biegu Urodzinowym Gdyni, w którym na 10 km wygrałeś z czasem 30.40. Skaczesz trochę po tych różnych imprezach?
Czasami, jak jestem w treningu, to warto, zamiast mniejszej jednostki treningowej, wystartować w jakimś biegu. Nadarzyła się okazja, żeby wtedy wystartować w Gdyni i przebiegłem się treningowo.

Narzuciłeś w lutym w Gdyni najmocniejsze tempo od początku. Już wtedy czułeś, że to może być otwarcie dobrego sezonu?

Na pewno czułem to już po treningach. Byliśmy wtedy po zgrupowaniu w Monte Gordo w Portugalii. Treningi tam fajnie wychodziły, wszystko się zgadzało. Czułem, że ten sezon będzie naprawdę dobry.

To co w sezonie 2025 wspólnie z trenerem sobie założyliście?

Generalnie jesteśmy na początku tego sezonu. Na razie, to co sobie założyliśmy, wszystko się spełnia: bieg na 10 000 metrów w Warszawie (26 kwietnia, wspomniany rekord Polski U-23 to 28.21,77 - przyp.), bieg na 3000 metrów z przeszkodami w Bydgoszczy (30 maja, rekord życiowy 8.23,01 - przyp.). Czekam jeszcze 5000 metrów na Żywiecu. Najważniejsze starty jeszcze przed nami, czyli w końcu czerwca drużynowe mistrzostwa Europy w Madrycie i w połowie lipca młodzieżowe mistrzostwa Europy do lat 23 w Bergen. W Norwegii pobiegę 3000 metrów z przeszkodami i to będzie już taki najważniejszy start.

Który klimat Ci bardziej odpowiada, ten hiszpański czy norweski?

W sumie to norweski, bo w lipcu, gdybym miał biegać

w Hiszpanii, to bym się zagołował. A w Bergen na szczęście pogoda będzie taka, że temperatura maksymalnie do 20 stopni Celsjusza.

Trener Zbigniew Rolbiecki mówi, że rekord U-23 na 10 000 metrów to nie jest Twoje ostatnie słowo.

Jeśli będę miał bieg, to chciałbym się poprawić na „trójce” z przeszkodami. To też może się udać. Rekord Polski do lat 23 to 8.17 i jest naprawdę mocny.

Poprzedzka jest bardzo wysoko zawieszona. Wszystko zależy od tempa na drużynowych mistrzostwach Europy. Jeśli tam będzie taka „czajowa”, że dwa pierwsze kilometry wolno, a dopiero na ostatnim mocniej, to się nie uda. Jeśli jednak będzie dobry początek i ktoś „wyjdzie”, to te 8.17 może uda się pobiec.

W dłuższej perspektywie myślisz o igrzyskach olimpijskich w Los Angeles?

Igrzyska to zawsze cel. W Los Angeles wchodzi w grę przeszkody. Myślmy tylko o „trójce” z przeszkodami. Na innych dystansach, w tym wieku, raczej ciężko byłoby coś lepiej pobiec. W biegach na 5000, czy 10 000 metrów minima są naprawdę wygórowane. A ja mam to coś, jeśli chodzi o przeszkody i dojście do finału olimpijskiego byłoby naprawdę czymś wielkim.

©P

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, Gdańsk, Połęża 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76 www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31 tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - Gdańsk, Połęża 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

SKUP części nieruchomości, cała Polska, 518-503-404

Praca

ZATRUDNIĘ

GŁÓWNA KSIĘGOWA
Piekarnia-Cukiernia "Pellowski" zatrudni na stanowisko Główna Księgowa. Szczegóły pod numerem telefonu 602-211-671, bądź adresem mailowym mostowa@pellowski.net

Handlowe

MATERIAŁY OPAŁOWE

DREWNO opałowe suche iglaste-190zł, osika-230zł, klon-260zł, dąb 310zł, buk-340zł - metr nasypowy połączony z transportem, woj. pomorskie, sprzedam tel. 723-894-857

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

AWARIE - dachy, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie; 517-744-487

MALOWANIE dachów. 788-016-988.

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniebane powypadkowe. Najlepiej placimy, całe pomorskie 514-514-610

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy turnusy 60+ czerwiec od 1050 zł dostępny masaż leczniczy / dowóz, tel.: 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

MORZA

ŁĘBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA pobyt z wyżywieniem od 140zł doba, 601-585-510 www.danaustronie.pl

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KACZKI gęsi perliczki 600500129

KURKI nioski dowóz 600 500 159

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlery) odchowane, 10-20 tyg, kaczki i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram zapisy. Tel. 728-104-188.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.050 zł/tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Koszykarski mecz dużej wagi

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Dzisiaj o godz. 20.30 rozpocznie się w Hali Mistrzów mecz Anwilu Włocławek z Treflem Sopot. To spotkanie zamykające dwumecz o brązowe medale Orleu Basketu Ligi.

Ustępujący mistrzowie Polski w koszykówce mogą się zadowolić najwyższymi brązowymi medalami w sezonie 2024/2025. Muszą jednak ogrzać Anwil na wyjeździe co najmniej czterema punktami. To mało i dużo, bo włocławianie również walczą o pozytywne zakończenie nieudanych rozgrywek. Chorwat Žan Tabak z Trefla i Turek Selçuk Ernak z Anwilu widzieli swoje drużyny w finale. Co zrozumiałe, taką samą optykę mieli kibice w Sopocie i Włocławku.

Žan Tabak kończy trzyletni kontrakt w Sopocie. Czy podpisze nową umowę? Marek Wierzbicki, prezes Trefla Sopot, przekazał nam, że rozmowy w tej sprawie zaczną dopiero po zakończeniu dwumeczu z Anwilem.

- To nie jest dobry moment, aby teraz rozmawiać o przyszłym sezonie. Jeśli moja przyszłość w Sopocie miałaby zależeć od wyniku dwumeczu o trzecie miejsce w lidze, to lepiej, żebym w Sopocie nie zostawał - powiedział na konferencji prasowej Žan Tabak.

Nie zmienia to faktu, że zawsze lepiej zakończyć rozgrywkę z medalem, niż na bardzo niepopularnym przez spor-



W pierwszym z dwóch meczów o brąz Trefl przegrał z Anwilem 85:88

towników czwartym miejscu. Da się odczuć, że zagranicznym trenerom nie uśmiecha się gra o trzecie miejsce. To bowiem wyróżnik polskiej ligi.

- To pierwsza sytuacja w moim życiu, że gram spotkania o trzecie miejsce. Grałem we Włoszech, w Hiszpanii i w Stanach Zjednoczonych. To mecze, które są w programach igrzysk olimpijskich czy mistrzostw świata. Nigdy wcześniej nie byłem jako trener w takiej sytuacji. To skomplikowane i zarazem trudne ze względu na samopoczucie po półfinałach. Zawsze staram się jednak spojrzeć na to tak, w jaki sposób mogę zmotywować zawodników. Szukać kąta do tego, aby pozytywnie to zakończyć. Wychodzę z założenia, że będąc w klubie nie powinniśmy rozglądać się poza niego, ale rozmawiać we wła-

snym gronie. Jeśli mamy problemy, to rozwiążmy je między sobą. My cierpimy z tego powodu najbardziej i tylko my możemy to zmienić. Nie jestem typem trenera, który woła kogoś z zewnątrz, aby rozwiązywał nasze problemy. Siadamy, rozmawiamy i rozumiemy, że jesteśmy w niekomfortowej sytuacji. Szukamy przy tym rozwiązania, które pozwoli nam, przykładając się mocniej, wygrać kolejny mecz - tłumaczy chorwacki szkoleniowiec sopockiej drużyny.

Punktem wyjścia do osiągnięcia dobrych wyników w sportach drużynowych jest budowanie dobrych relacji w tej drużynie. Nie inaczej ma być w Treflu, gdzie zawodnicy wspólnie przechodzą przez różne etapy sezonu.

- Jeśli z pewną grupą ludzi spędzasz tyle czasu w ciągu se-

zonu, to zaczynacie się czuć jak rodzina. Trzeba sobie uzmysłowić, że jeśli jedno z nas coś czuje, to przekłada się to na resztę. Jeśli jedno jest zranione, to reszta też jest zraniona. W takiej sytuacji trzeba podnieść głowę wysoko. W sporcie, tak jak w życiu codziennym, ważne jest, nie to, ile razy upadasz, ale jak szybko się podnosisz. Myślę, że w tym pierwszym spotkaniu z Anwilem to zrobiliśmy - dodaje Žan Tabak.

Aby się szybko podnieść - pociechanie muszą więc wziąć przykład z Legii Warszawa, która w półfinałach dwukrotnie wygrała w gorącej Hali Mistrzów we Włocławku. Trefl już zresztą pokazał, że umie tam grać. W sezonie zasadniczym w marcu pokonał „Rottweilery” w ich obiekcie 85:77.

©P

Brązowe medale w Polsce znaczą wiele. To jest cel

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Trefl Sopot w hali we Włocławku zakończy sezon 2024/2025. O stawce meczu i determinacji drużyny opowiada Mikołaj Witliński, środkowy żółto-czarnych.

Jesteście w środku dwumeczu z Anwilem Włocławek o brązowe medale. Trener Žan Tabak, mimo przegranego spotkania 85:88, mówi, że jest zbudowany waszą postawą. Też tak to odbierasz?

Przegrane półfinały ze Startem Lublin to już historia i nie ma co się dłużej żalić, bo mamy kolejny mecz o stawkę i o coś. Trzeba się na tym skupić i żyć na nowo, tak można powiedzieć. Mamy inne priorytety, inne cele. Dalej są ambicje, bo brązowy medal w Polsce i w Europie znaczy wiele. To jest podium i walczymy o ten wysoki cel.

O tej nieudanej serii półfinałowej ze Startem zapominasz o wyjściu na boisko? Czy to jeszcze wam przeszkadza?

Musieliśmy ten temat zamknąć. To, że przegraliśmy i nie weszliśmy do finałów oznacza, że nie zasłużyliśmy, aby w tym miejscu być. Nie ma co tutaj dywagować na ten temat. Jest jak jest i mamy grać o brąz. Teraz historią jest to, że przegraliśmy pierwszy mecz z Anwilem trzema punktami i musimy zrobić wszystko, aby we Włocławku wygrać więcej niż trzema, aby

zakończyć sezon z uśmiechami na twarzy.

Anwil jest w podobnej sytuacji.

Jak każdy przegrany półfinalista. Jest na pewno niepokieszony, ale to nie jest koniec sezonu. Jeszcze raz powtarzam, że gramy o cel. A ten wiąże się z prestiżem, z europejskimi pucharami dla klubu, który zajmie trzecie miejsce. Jest o co grać, bo to nie tylko brązowy medal.

Kontuzjowany Kamil Łączyński był w Ergo Arenie przy Anwile i mówi, że rewanż jest sprawą otwartą. Zgodzisz się?

Wszystko jest możliwe. Te trzy punkty straty totalnie nie mają znaczenia. Ja osobiście mam takie doświadczenie, że przegraliśmy we Włocławku jednym punktem i było blisko. Niestety, potem u siebie przegraliśmy 15 punktami mecz o brązowy medal. Grałem wtedy w Czarnych Słupsk. Ten pierwszy mecz o niczym nie świadczy. Jest blisko, jest ciasno. Musimy pojechać i zrobić wszystko, aby wygrać minimum czterema.

Hala Mistrzów to miejsce tętniące życiem, napędzane przez fanatycznych wręcz kibiców. Ciężko się tam gra?

Zawsze się ciężko gra we Włocławku, ale mam nadzieję, że kibice dopiszą i będzie bardzo gorąco i że my i Anwil zakończymy sezon w świetnej atmosferze. My sportowcy uwielbiamy taki gorący doping z trybun.

120 biegaczy w kolejce po medale w Gdańsku

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

LEKKOATLETYKA. Bieg na 5000 metrów w randze mistrzostw Polski podczas Memoriału Żylewicz przyćmiewa do Gdańska najlepszych młodzieżowców.

Organizatorzy 53. Memoriału Józefa Żylewicza mieli duży problem, aby pomieścić wszystkich chętnych do biegu na 5000 metrów. Do zawodów zaplanowanych w sobotę zgłosiło się łącznie 120 biegaczy.

I nie jest to zaskoczeniem, ponieważ w kategoriach U-20 oraz U-23 będą rozdawane medale mistrzostw Polski.

- Kategorię U-23 oraz open musieliśmy podzielić, aby zmieścić wszystkich zarejestrowanych na bieżni. Seria B rozpocznie się więc o godz. 16.30, a najlepsi wystartują od 20.15 - przekazał nam Stanisław Lange, dyrektor mitingu na stadionie w Gdańsku Strzyży.

Nie tylko ciekawie zapowiadająca się rywalizacja biegaczy długodystansowych będzie

ozdobą 53. Memoriału Żylewicza. Na bieżni i murawie stadionu przy al. Grunwaldzkiej 244 kibice będą mogli zobaczyć specjalistów w 20 konkurencjach olimpijskich. A formę zaprezentuje także 40 paralekkoatletów w pięciu konkurencjach. Oficjalne otwarcie lekkoatletycznego mitingu w sobotę o godz. 17.

Od tego momentu rozpocznie się blok najciekawszych wydarzeń. Od godz. 14 organizatorzy zapraszają wszystkie rodziny do udziału w festynie „Lekka dla każdego”. Jeszcze

wcześniej, bo od godz. 10.30, będzie można sprawdzić swoją kondycję na stadionowej bieżni podczas biegu „Szybka strzała północy”, czyli rywalizacji na 3000 metrów. To propozycja dla amatorów ruchu, kobiet oraz mężczyzn.

Gwiazdami tegorocznego memoriału będą: Maciej Megier oraz Olimpia Breza (bieg na 5000 metrów), Anna Matuszewicz (sprint na 100 m), Aleksandra Formella i Karol Zalewski (bieg na 200 m), Kinga Jakowska (kula/dysk) oraz Wojciech Marok (dysk).



Mikołaj Witliński w barwach Czarnych Słupsk już raz przegrał z Anwilem dwumecz o brązowe medale

REKLAMA

GRAND PRIX GDAŃSKA

www.kl-technia.pl

53. MEMORIAŁ ŻYLEWICZA - OUTDOOR MEETING EA

13-14.06.2025r. Stadion GOS Gdańsk, al. Grunwaldzka 244

13.06 - 11:00 Mały Memoriał Żylewicz Sztafety Szwedzkie; 14.06 - 14:00 - Festyn LdK; 17:00 Memoriał

PARTNER

ORGANIZATOR

OFICJALNY SPONSOR

PARTNER OFICJALNY

PARTNER MEMORIAŁU

PARTNER

GDANSK

LEKKOATLETYKA

ENERGA GRUPA ORLEN

LOTTO

POMORSKIE

AUTO PADRE R. SCHEWIE

pre zero

S

RADKOM.PL

MARATONY POLSKIE.PL

trojmiasto.pl

Dziennik Bałtycki

Radio Gdańsk

TVP3 GDAŃSK

PARTNER OFICJALNY Mały Memoriał Żylewicz

Ministerstwo Sportu i Turystyki

PARTNER OFICJALNY Wyścig 1500 "Wózkarzy" KIM Kula KIM, FrameRunning

Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych

PIŁKA NOŻNA SELEKCJONER REPREZENTACJI POLSKI OPUŚCIŁ DRUŻYNĘ NARODOWĄ NA SWOICH WARUNKACH

Probiez ostatecznie zrezygnował

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Michał Probiez dzień po rozmowie z prezesem PZPN Cezarym Kuleszą nie spodziewanie złożył dymisję ze stanowiska selekcjonera reprezentacji Polski.

Wydawało się, że selekcjonera reprezentacji Polski Michała Probieza po odebraniu opaski kapitańskiej Robertowi Lewandowskiemu i rezygnacji „Lewego” z występów w kadrze, po porażce 1:2 z Finlandią, nikt nie zwolni, a w czwartkowy poranek Michał Probiez sam ogłosił rezygnację z posady selekcjonera reprezentacji Polski!

A jeszcze dzień wcześniej prezes PZPN Cezary Kulesza po rozmowie z Probiezem zapowiedział, że nie będzie dymisji selekcjonera, a sam podejmie się misji pogodzenia trenera drużyny narodowej z jej niedawnym kapitanem, aby Lewandowski, mimo wcześniejszego sporu, nadal występował w reprezentacji.

Tymczasem Probiez zaskoczył w czwartek porannym oświadczeniem złożonym na portalu PZPN Łączy Nas Piłka:

„Doszedłem do wniosku, że w obecnej sytuacji najlepszą decyzją dla dobra drużyny narodowej będzie moja rezygnacja ze stanowiska selekcjonera. Pełnienie tej funkcji było spełnieniem moich zawodowych marzeń i największym życiowym zaszczytem – oświadcza Michał Probiez. Bardzo dziękuję wszystkim moim współpracownikom, pracownikom PZPN. Zawsze mogłem na Was liczyć. Dziękuję za zaufanie prezesowi i zarządowi PZPN. Dziękuję oczywiście wszystkim piłkarzom, z którymi miałem przyjemność spotkać się na tej drodze. Będę trzymał za Was wszystkich kciuki, ponieważ reprezentacja jest naszym wspólnym dobrem narodowym. Pragnę podziękować również naszym wspianiałym kibicom. Jesteście z nami na dobre i na złe. Gdziekolwiek grała reprezentacja, tam sły-



Michał Probiez opuścił reprezentację Polski po porażce z Finlandią 1:2 w Helsinkach i wcześniejszym zarzekaniu się, że absolutnie nie zamierza podać się do dymisji

chać było Wasze wsparcie” – oświadczył były już selekcjoner.

Do rezygnacji odniósł się PZPN. Podziękował Probiezowi za współpracę i życzył mu sukcesów:

„Polski Związek Piłki Nożnej bardzo dziękuje selekcjonerowi Michałowi Probiezowi za współpracę i zaangażowanie w prowadzeniu kadry narodowej, życząc sukcesów w dalszej karierze zawodowej”.

Dymisję skomentował też prezes Kulesza w rozmowie z portalem Meczyki.pl: Michał Probiez zadzwonił do mnie w środę wieczorem, że wszystko na spokojnie przemyślał i najlepsza będzie rezygna-

cja. Zamykamy ten etap. Rozpoczynamy poszukiwania nowego selekcjonera. Polak? Nie przesądzam, ale bardzo możliwe. To musi być ktoś, kto zna tę reprezentację – oznajmił szef PZPN.

Giełdę kandydatów na następcę Probieza otwiera niedawny trener Górnika Zabrze Jan Urban, a także szkoleniowiec Jagiellonii Białystok Adrian Siemieniuch.

Tymczasem 52-letni Probiez żegna się z reprezentacją oplakany bilansem: w ciągu półtora roku pracy prowadził kadrę w 21 meczach, z których 9 wygrał, 5 zremisował i 7 przegrał, przy stosunku bramek 34-29.

Jako selekcjoner Probiez powołał do kadry 60 zawodników, 15 z nich zaliczyło debiut w barwach narodowych, wielu już zniknęło jak we mgle.

Największym sukcesem był awans z drużyną z baraży do finałów Euro 2024, na których jednak Polska nie wyszła z grupy, zdobywając zaledwie punkt po remisie z Francją. ©

Finały XXV Pucharu Tymbarku. Ogromne przeżycia małych piłkarzy

Jacek Sroka
redakcja@polskapress.pl

Od 4 do 6 czerwca w Chorzowie rozgrywano turniej finałowy Pucharu Tymbarku. Eliminacje odbywały się w Parku Śląskim, a wielki finał na głównej płycie Superauto.pl Stadionu Śląskiego.

Finał XXV edycji Pucharu Tymbarku odbył się w Chorzowie. W Parku Śląskim przez dwa dni rywalizowały 64 zespoły, które wcześniej triumfowały w finałach wojewódzkich.

Rywalizowano w dwóch kategoriach wiekowych U10 i U12 chłopców i dziewcząt, a ostatniego dnia zmagani na Superauto.pl Stadionie Śląskim odbyły się mecze o miejsca na podium.

Dzieci grały 6 czerwca na głównej płycie słynnego Koła Czarownic, na którym w piątkowy wieczór swój mecz z Mołdawią rozegrała reprezentacja Polski i były z tego powodu bardzo przejęte.

Wszystko było super – serce mocniej biło!

– Turniej oceniam bardzo dobrze. Wszystko było super. Bardzo ładny stadion. Jak się wychodziło na takie boisko, to serce mocniej zabiło. Emocje były

wielkie, ale wygraliśmy tę imprezę – cieszył się Miłosz Pawelec z SMS Wrocław, który razem ze swoją drużyną triumfował w kategorii U10, gromiąc w finale SSP 3 z Elbląga aż 5:0.

Zawody miały profesjonalną oprawę. Finalistów w każdej kategorii wiekowej na murawę wyprowadzali członkowie zarządu PZPN na czele z prezesem Cezarym Kuleszą i szefowie wojewódzkich związków piłkarskich. Do Chorzowa przyjechał też Ireneusz Raś, sekretarz stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki, a jednym z arbitrow był Piotr Lasyk, sędziujący mecze PKO Ekstraklasy.

Prawdziwa radość i wielka przyjemność

– To sama przyjemność i prawdziwa radość być częścią tego wspaniałego spektaklu. Wystarczy popatrzeć na te dzieciaki. Tutaj jest tyle autentycznych emocji, tyle prawdziwej piłki. Tutaj nie ma pieniędzy, ale są emocje, są łzy. Jest duża radość z gry i wielka satysfakcja z wygranych. To był fantastyczny czas dla wszystkich osób, które brały udział w tej imprezie – stwierdził pochodzący z Bytomia Lasyk.

W najstarszej kategorii chłopców Puchar Tymbarku zdobyła SP 7 z Częstochowy.



Finałowe mecze XXV Pucharu Tymbarku odbyły się na Superauto.pl Stadionie Śląskim w Chorzowie

– Trenujemy razem już kilka lat nie tylko w szkole, ale także w Akademii Rakowa Częstochowa. Chłopcy są zgrani i to jest na pewno dużym plusem. Mają też duży potencjał i fajnie, że go pokazali na murawie, na której kilka godzin później zagra reprezentacja Polski. Myślę, że ten sukces będzie procentował w przyszłości. Fajnie, że w Chorzowie wspierała nas spora grupa kibiców. To na pewno pomogło chłopakom – powiedział Piotr Lenartowski, trener częstochowskiej siódemki.

W tej samej kategorii wiekowej wśród dziewcząt triumfowała SP Przeźmierowo z miej-

scowości położonej w gminie Tarnowo Podgórne tuż obok poznańskiego lotniska Ławica. W finale rozgromiła Aktywne Juniorski Borowa 4:0.

Nie tylko futbol, inne sporty w cenie

– To był nasz trzeci start w Pucharze Tymbarku. Drugi raz zagraliśmy w ogólnopolskim finale. W ubiegłym roku zajęliśmy w nim 9. miejsce, ale udało się zachęcić dziewczynki, żeby cały rok trenowały piłkę nożną, bo część z nich ćwiczy na co dzień zupełnie inne sporty – karate, akrobatykę sportową i lekką atletykę, a piłkę tren-

wały przy okazji. Wygraliśmy etap gminny, później powiatowy i wojewódzki, a teraz triumfowaliśmy też w finale ogólnopolskim, z czego jesteśmy bardzo zadowoleni – powiedział Mateusz Kamiński, trener SP Przeźmierowo.

Kociół Czarownic zrobił wrażenie

Szkoleniowiec zwycięskiego zespołu dziewczynek dodał na zakończenie: – Pierwszy raz jestem na Stadionie Śląskim po remoncie i obiekt robi naprawdę duże wrażenie. Przed rokiem graliśmy w finale na PGE Narodowym w Warszawie, ale w Chorzowie na Śląskim organizacja turnieju też była na najwyższym poziomie.

XXV edycja Pucharu Tymbarku jest współfinansowana przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. Wydarzenie odbywa się pod Patronatem Honorowym Prezydenta RP Andrzeja Dudy, natomiast w Komitecie Honorowym znajdują się Minister Sportu i Turystyki oraz Minister Edukacji. ©

XXV PUCHAR TYMBARKU

Wyniki meczów finałowych Pucharu Tymbarku na Stadionie Śląskim:

Kategoria U10 dziewczynki

Finał:

Prywatna OMS Opoczno - SP Somianka 2:1



03. miejsce:

SP Choroszcz - SP 6 Inowrocław 2:0

Kategoria U10 chłopcy

Finał:

SMS Wrocław - SSP 3 Elbląg 5:0

03. miejsce:

STO Rembertów - Podlasie Football Team 6:1

Kategoria U12 dziewczynki

Finał:

SP Przeźmierowo - Aktywne Juniorki Borowa 4:0

03. miejsce:

SP Korsze - SP Choroszcz 3:2

Kategoria U10 chłopcy

Finał:

SP 7 Częstochowa - SMS Stal Rzeszów 5:3

03. miejsce:

SP 5 Jarocin - ZSP 2 Białystok 3:1